Łódź odgłosy tygodnik społeczno-kulturalny

NR 17 (1220) ROK XXIV 26 KWIETNIA 1981 R. CENA 3 ZŁ

Tomasz Soldenhoff

DOBIĆ TEATR?

— Jeśli napisze pan, żeby zlikwidować, z naszej strony nie będzie protestów — zapewnia mnie w Urzędzie Miasta pewna Ważna Osoba...

Więcej wątpliwości ma „środowisko": *— Zamknąć teatr? To nie taka prosta sprawa* — mówią i ci ze SPATiF, i ci z „Solidarności", choć „prywatnie" niejeden przyznaje rację władzy.

A w teatrze? Tu zdania są bardzo podzielone. Widać to szczególnie od ośmiu miesięcy, gdy rozłam w zespole stał się sprawą publiczną, gdy o teatrze — dotąd wegetującym w cieniu — nagle zrobiło się głośno. Skandal wyrwał go z cienia i choć odgłosy „walk podjazdowych" i echa sądów koleżeńskich wciąż zagłuszają argumenty — zwrócił uwagę na problemy ważniejsze, niż nawet zerwany spektakl, pochopnie udzielone nagany, huczne „oblewanie" premiery na kolonii dziecięcej...

„Plenią się obyczaje magla, donosu, insynuacji i zawiłych osobistych rozrachunków" — tak charakteryzowali „odnowę" w swym teatrze członkowie zespołu artystycznego (w liście do prezydenta). W takiej atmosferze coraz więcej osób głośno wyrażało swój niepokój, że zagubić się może to co najważniejsze: przyszłość teatru.

W mozole, wśród nadal trwających swarów, w nastroju kompletnego rozbicia, układano listy postulatów. Od zespołu artystycznego i pracowników technicznych. Do dyrekcji i „jednostki nadrzędnej". Ale od wielu spisywanych w tamtym gorącym okresie, różnił je ton. Ton rozpaczy. Ci, którzy je układali i monitowali władze, wiedzieli bowiem, że w takiej formie, jak obecna, teatr nie ma sensu. Że waży się ich los. Los teatru. Oczekiwali szybkiej pomocy. Tymczasem władza, zamiast organizować pomoc, godziła zwaśnionych.

* * *

Jakże różni się timbre ostatnich głosów o dawnym Teatrze Ziemi Łódzkiej od atmosfery, którą tworzono przy narodzinach Teatru imienia Juliana Tuwima...

Z początku był optymizm. Wydawało się bowiem, że nowa formuła — „teatru dla młodzieży" może być dobrym sposobem na rozruszanie tej sceny, od lat tkwiącej w zastoju. „Teatr młodzieżowy" — to było coś nowego, mimo enigmatyczności tego pojęcia, coś, co mogło wypełnić dotkliwą lukę w repertuarze łódzkich teatrów. Coś, co zarazem stwarzało teatrowi nadzieję na oczekiwaną od lat poprawę warunków, mogło wreszcie wyróżnić go spośród innych i przybliżyć marzenia o teatrze stacjonarnym. Wyrwać z męczącej roli objazdowej scenki, na którą skazano go przed trzydziestu laty.

Czym ma być „teatr dla młodzieży"? Jaka może być jego „łódzka wersja"? Dyskutowano z uporem godnym lepszej sprawy, a pierwszą i od razu udaną sceniczną odpowiedź przyniosła — wystawiona rok temu, na inaugurację nowego etapu działalności — „Odprawa posłów greckich" w reż. Józefa Jasielskiego, nagrodzona zasłużenie „Srebrną Łódką".

Niestety, sukcesu tego nie udało się już powtórzyć. Ani w „Antygonie" — drugiej próbie innego spojrzenia na klasykę przez tego reżysera. Nie bardzo zrozumiałe — w kontekście „nowego profilu" — było (także dla zespołu) wystawienie rumuńskiej sztuki „Jak to w karnawale" i — osławionych już — „Simanionek". Z mieszanymi uczuciami opuszczali recenzenci teatr po premierze „Okupu dla wszystkich". „Rów" — podobnie jak wcześniejszy „Wypadek" — nie zdołał zasypać rowu między repertuarowymi poszukiwaniami dyrekcji, a oczekiwaniami publiczności, spragnionej odbicia własnych problemów na scenie, prawdziwych tematów współczesnych.

Natomiast poszerzały się rowy w łonie teatru, jeden z nich wykopała polityka podpierania sceny kosztownym importem tzw. gwiazd, która spotkała się z niechęcią części zakompleksionego zespołu i wątpliwościami recenzentów („Iwanow", a ostatnio „Moralność Pani Dulskiej"). Jedynym właściwie przedstawieniem, które odpowiadało wcześniejszym deklaracjom o szukaniu nowej formuły „teatru młodzieżowego", była więc

Dalszy ciąg na str. 7

Foto: A. Wach

w środku bermudzkiego trójkąta

Jerzy Katarasiński

O PROGRAM ROZWOJU I MODERNIZACJI KULTURY W ŁODZI

Pod koniec lat siedemdziesiątych wszędzie już było wiadomo, że w Łodzi źle się dzieje. Wszędzie, tylko nie w Łodzi. Zygmunt Greń ukuł w „Życiu Literackim" (1978) zgrabne i trafne porównanie o „nowym trójkącie bermudzkim kultury między Koluszkami, Kutnem i Łowiczem: kto się tam dostanie, wszelki słuch o nim ginie...". Śmiała się z tego cała Polska. Śmiała się z tego cała Polska, nie wiedząc, że sama z siebie się śmieje, że wskazany przez Grenia rejon z centrum w Łodzi jest okiem wiru, samym środkiem trójkąta, obejmującego znacznie, ale to znacznie szersze połaci.

W Łodzi się z tego nie śmiano, bo z czegóż ma się śmiać topielec wpadający w próżnię. Albo jeszcze rozpaczliwie walczy, machając rękami na oślep, ma więc wrażenie ruchu, wysiłku — albo jest mu już wszystko jedno: nadszedł ten moment wszechogarniającej apatii, który pozwala ze spokojem przyjąć nadciągający nawis fali.

Rozpędziłem się, ciągnąc to greniowskie porównanie, rozpędziłem się, bo trafne jest ono nie ma co gadać; tak na dobre widać to dopiero teraz, kiedy oko wiru zaczyna krążyć —to tu, to tam — kiedy wir rozmył się, rozlał na dobre, krąży nie mniej niebezpieczny, ale już jakby spokojniej, bo szeroko, i trzepotanie rąk widać to w Łodzi, to we Wrocławiu, w Warszawie, Krakowie, Gdańsku. Ciągle jedni są jeszcze w lepszej, inni w gorszej sytuacji, ale, tak na złą sprawę, Łódź przestała być drastycznym wyjątkiem, choć w ogóle wyjątkiem jest

CO BYŁO

Nie trzeba ani zbyt szeroko ani zbyt drobiazgowo wchodzić w historię kultury w „złym mieście" (ten termin to także cała historia), aby zorientować się, że ostatnie jej lat kilkadziesiąt (a więc właściwie całość), da się zamknąć w powracającym cyklu wyniesień ponad falę — i pogrążeń.

Takim wyniesieniem po nocy zaborów, był okres międzywojenny; zaczął się on od romantyczno-pozytywistycznej pracy, pracy od podstaw, kiedy to najróżniejsze środowiska społeczników, mając za sobą doświadczenia choćby chórów polskich — bardzo tu żywotnych i pod zaborem — a także wnioski płynące z pracy choćby Teatru Popularnego Andrzeja Mielewskiego, poczęły orać biedny, zapuszczony ugór. Apogeum nastąpiło w latach trzydziestych — mijamy właśnie Teatr Popularny Wojciecha Pilarskiego, wchodzimy w dynamiczny okres pracy „czerwonego magistratu": Scena Robotnicza Witolda Wandurskiego, powstanie Muzeum Sztuki Nowoczesnej z kolekcją zorganizowaną przez grupę „a.r.", głośne spektakle Leona Schillera.

Z pewnością międzywojnie kulturalne Łodzi dałoby się wewnętrznie podzielić na pod-cykle; pozostańmy jednak przy tym zarysowanym gru-

Dalszy ciąg na str. 3

Czym oddychamy w Łodzi?

Rozmowa z dr. IRENEUSZEM DUBANIEWICZEM, prezesem Oddziału Towarzystwa Urbanistów Polskich w Łodzi.

— Panie doktorze, czym właściwie oddychamy w Łodzi?..

— Specyficzną mieszaniną gazów, intensywnie „wzbogacaną" przez odpady przemysłu i gospodarki komunalnej. Tworzy się w ten sposób atmosferyczny „cocktail łódzki", w którym wprowadzone zanieczyszczenia osiągają często stężenia groźne dla zdrowia i życia człowieka.

— Rzec by więc można, że tylko końska odporność utrzymuje nas w kondycji.

Dalszy ciąg na str. 4

Ryszard Binkowski

akcja „żywność"

Ludzie mówią w kolejkach, że znowu staliśmy się narodem wybranym, który dla ratowania Europy doświadcza wszelkich klęsk i plag. Nękają nas kryzysy, strajki, klęski urodzaju i nieurodzaju, susze i powodzie. Nie omijają nas również pożary. W sklepach pustki, a tu jak na złość pali się magazyn żywności przy ul. Wróblewskiego. 18 marca spalił się młyn w Pabianicach. Nie działały automaty tryskaczowe, reagujące na wysoką temperaturę. W akcji brały udział 33 jednostki straży z całego województwa, ale że wodę trzeba było dowozić, spłonęło 80 ton mąki, zboża i otrąb i nazajutrz w sklepach zabrakło mąki. Ludzie natychmiast wykupili.

W „Odgłosach" nr 12 opublikowałem materiał pt. „Barwy wiosny", w którym wiosna malowała mi się dość czarno. I to się, niestety, sprawdza. W tym samym artykule przedstawiłem dyskusję na temat działalności kółek rolniczych. Jeden z mówców twierdził, że są ludzie, którzy obmyślają w kawiarniach, jak rozbić strukturę kółek rolniczych. Przyznałem, że tych spraw nie należy pomijać milczeniem i dlatego napisałem, jak wyglądają wymienieni przez mówcę osobnicy, gdzie działają, czego żądają, co knują. Ten fragment tekstu nie ukazał się, z przyczyn od nas niezależnych. Źle się stało, ale od tej pory wiele się też zmieniło. Teraz chłopi chcą legalnie wspomagać żywnością robotników. Jak nie pod szyldem związkowym, to pod szyldem spółdzielczym. Dzisiaj

Dalszy ciąg na str. 5

POWSTAŁ KLUB PISARZY W ŁODZI. Informujemy Czytelników, że uchwała Zarządu Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich z dnia 31 marca br. został powołany „Klub Pisarzy Oddziału Warszawskiego ZLP z siedzibą w Łodzi". W skład Klubu wchodzą w chwili obecnej następujący pisarze: Andrzej Biskupski, Stanisław Cieślak, Jan Czarny, Tadeusz Gicgier, Jerzy Jarmołowski, Wiesław Jażdżyński Stanisław Kaszyński, Mieczysław Kucner Wacław Olszewski, Andrzej Ostoja-Owsiany, Ziemowit Skibiński Andrzej Wilczkowski, Józef Henryk Wiśniewski, oraz Apoloniusz Zawilski (przewodniczący Klubu).

15 KWIETNIA w Łodzi przebywali z wizytą członkowie Zarządu Głównego ZLP: Jan Józef Szczepański — prezes, Leszek Prorok — wiceprezes, Zbigniew Kubikowski — sekretarz generalny. Goście spotkali się z prezydentem m. Łodzi — Józefem Niewiadomskim.

W auli Instytutu Filologii Polskiej na wieczorze autorskim spotkali się z młodzieżą studencką i pracownikami naukowymi UŁ; współorganizatorem spotkania było Stowarzyszenie Twórców Kultury. Wieczorem o godz. 19 odbyło się z udziałem J. J. Szczepańskiego Leszka Proroka i Zbigniewa Kubikowskiego zebranie w Oddziale Łódzkim ZLP.

W ŁODZI, w ramach uroczystości odbywających się w iMesiącu Pamięci Narodowej, obchodzony był Dzień Kombatanta. Na placu Wolności, pod pomnikiem Tadeusza Kościuszki — patrona I

KRONIKA KULTURALNA

Dywizji Piechoty, pierwszej jednostki Ludowego Wojska Polskiego — wartę zaciągnęli żołnierze WP Złożono hołd Naczelnikowi, przybyły delegacje łódzkich kombatantów z pocztami sztandarowymi Przedstawiciele Klubu Kombatantów przy ZBoWiD złożyli u stóp pomnika wieniec.

Składano także wieńce i wiązanki na grobach poległych żołnierzy.

W KWIETNIU, podobnie jak w latach ubiegłych, obchodzimy Dni Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Uroczystości tegorocznych Dni rozpoczęły się już 22 kwietnia. W tym dniu przybyli z wizytą przedstawiciele ambasady ZSRR i Domu Radzieckiej Nauki i Kultury w Warszawie. Goście spotkali się z władzami miasta, a także wzięli udział w podsumowaniu ogólnopolskiego konkursu na najlepszego eksportera do ZSRR, organizowanego przez ZŁ TPPR i „Textilimpex". Tego samego dnia odbyło się także spotkanie w Domu Przyjaźni z aktywem ZŁ i ZD TPPR Łódź—Śródmieście.

24 kwietnia, w kinie Iwanowo, zorganizowana będzie akademia wojewódzka z okazji 111 rocznicy urodzin W. I. Lenina i 36 rocznicy podpisania Układu o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej między Polską a ZSRR. Na akademii zostaną także wręczone Złote Honorowe Odznaki TPPR, zainaugurowane zostaną także Dni Filmu Radzieckiego oraz otwarta zostanie wystawa pt. „Kinematografia radziecka między XXV a XXVI Zjazdem KPZR".

W wielu łódzkich zakładach pracy przygotowano wystawy książek i fotografii o Leninie, radzieckich znaczków pocztowych, malarstwa i grafiki radzieckiej.

W Teatrze Wielkim otwarta zostanie wystawa pt. „Malarstwo rosyjskie z końca XIX wieku".

W GALERII przy ul. Bratysławskiej 6a otwarto wystawę Marty Rak-Podgórskiej pt. „Mój świat przyrody w pastelach i rysunkach".

W DOMU PLASTYKI I FILMU ŁDK (ul. Łagiewnicka 118) otwarta została wystawa rysunku i malarstwa Janusza Godona.

GALERIA PWSSP (Wojska Polskiego 121) zaprasza na wystawę studentów Wydziału Wzornictwa Przemysłowego.

W GALERII BAŁUCKIEJ (Stary Rynek 2) obejrzeć można wystawę fotografii Jana Madejskiego pt. „Notatnik".

W OŚRODKU PROPAGANDY SZTUKI obejrzeć można wystawę prac Leszka Rózgi. Artysta prezentuje na niej grafikę, rysunek i malarstwo.

W SALONIE SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ (Piotrkowska 86) czynna jest wystawa malarstwa i rysunku Marka Żulawskiego.

SPIS TREŚCI ODGŁOSÓW

Informujemy naszych Czytelników, iż dysponujemy spisem treści naszego pisma za rok 1980. Ponieważ ilość egzemplarzy jest ograniczona, nie będzie on dołączany do całego nakładu Odgłosów", a jedynie wysyłany adresatom na podstawie zgłoszeń. Zainteresowanych prosimy o kierowanie zgłoszeń pod adresem redakcji.

„TU CZYNY POWINNY BYĆ NA PLANIE"

(rozmowa z tow. STANISŁAWEM KANIĄ)

Przed wystąpieniem pierwszego sekretarza KC PZPR na zebraniu organizacji partyjnej w Stoczni im. Lenina w Gdańsku, w dniu 9 kwietnia br. wielu uczestników dyskusji podnosiło problemy funkcjonowania propagandy, a szczególnie radia i telewizji. Kilku dziennikarzy przeprowadziło rozmowę z tow. Kanią. Był wśród nich specjalny wysłannik „Anteny" — Marek Maldis — z magnetofonem. Oto jego relacja spisana z taśmy.

Dziennikarz: Dlaczego Towarzysz Sekretarz w swym wystąpieniu do stoczniowców nic nie powiedział o środkach masowego przekazu?

TOW. KANIA: Widocznie mam o nich dobre zdanie...

DZIENNIKARZ: Czy Towarzysz Sekretarz uważa, że są one wiarygodne, że podają zawsze informacje pełne i rzetelne?

TOW. KANIA: Nie, daleki jestem od takiego twierdzenia.

DZIENNIKARZ: A dlaczego tak się dzieje?

TOW. KANIA: To jest właśnie sprawa. Myślę, że niemała część winy leży po stronie środków masowego przekazu.

DZIENNIKARZ: Towarzysz Sekretarz ma na myśli autocenzurę?

TOW. KANIA: Dlaczego autocenzurę? Jeśli podaje się coś nierzetelnego — czy musi funkcjonować autocenzura?

DZIENNIKARZ: A jakie są tego przyczyny?

TOW. KANIA: A jak wy sądzicie?

DZIENNIKARZ: Mnie się wydaje, że przyczyny były przedstawione dzisiaj z tej trybuny, a Towarzysz Sekretarz nie ustosunkował się do nich...

TOW. KANIA: Czy do wszystkiego trzeba się ustosunkować?

DZIENNIKARZ: Czy Towarzysz Sekretarz uważa, że wytworzyły się w partii frakcje?

TOW. KANIA: Nie, nie uważam, że utworzyły się w partii frakcje.

DZIENNIKARZ: Czy rzetelna relacja z tego spotkania ma szansę się ukazać?

TOW. KANIA: Sądzę, że tak.

DZIENNIKARZ: Od czego to będzie zależeć?

TOW. KANIA: W pierwszej kolejności od tych, którzy to będą przedstawiać.

DZIENNIKARZ: To znaczy od nas?

TOW. KANIA: Tak myślę.

DZIENNIKARZ: Czy wobec tego Towarzysz Sekretarz wyraża zgodę na opublikowanie tej rozmowy w prasie i w radiu?

TOW. KANIA: Nawet gdybym nie wyraził zgody, to i tak opublikujecie...

DZIENNIKARZ: Chyba nas Towarzysz Sekretarz przecenia, nie doceniając siebie...

TOW. KANIA: Jestem za rzetelną informacją.

DZIENNIKARZ: Czy czuł Towarzysz Sekretarz potrzebę uwiarygodnienia się, to znaczy wytłumaczenia społeczeństwu, a przede wszystkim członkom partii, wielu zjawisk, które zaistniały w ostatnim czasie i które zostały z mieszanymi uczuciami przyjęte przez społeczeństwo, w tym członkow partii? Między innymi chodzi mi np. o fakt powołania na stanowisko I sekretarza KW w Warszawie tow. Stanisława Kociołka. Powiedział Towarzysz Sekretarz, że znane mu są fakty, które przemawiają za tow. Kociołkiem...

TOW. KANIA: Oczywiście...

DZIENNIKARZ: Dlaczego my tych faktów nie znamy?

TOW. KANIA: Myślę, że trzeba je ujawnić.

DZIENNIKARZ: Kiedy? Od kogo to zależy?

TOW. KANIA: To od władzy zależy, oczywiście...

DZIENNIKARZ: Od władzy, to znaczy od kogo?

TOW. KANIA: Ja tu z tej trybuny mówiłem, że trzeba będzie wrócić do prezentacji oceny wydarzeń grudniowych i traktuję to na serio. Tyle mogę powiedzieć.

DZIENNIKARZ: To znaczy w jakim czasie?

TOW. KANIA: Myślę, że przed Zjazdem.

DZIENNIKARZ: Jaka jest opinia Towarzysza Sekretarza o tym wszystkim, co robi tutaj Wojewódzka Komisja Przedzjazdowa?

TOW. KANIA: Ja wszystkiego nie znam. Ale słyszałem o wielu dobrych rzeczach. Jeden wniosek mam nawet przy sobie. Czy ze wszystkimi propozycjami trzeba się zgodzić? Ja nie sądzę, żeby towarzysze ze stoczni budowali z tą myślą, że albo wszystko, albo nic. Zbieramy te propozycje razem, konfrontujemy, jest jakiś wspólny mianownik.

DZIENNIKARZ: Czy ludzie, którzy przeżyli kilka kolejnych zakrętów są w stanie odnowić partię i sprostać wymaganiom stawianym przez członków partii obecnie?

TOW. KANIA: A dlaczego należy ich traktować jako inwalidów?

DZIENNIKARZ: Nie jako inwalidów, ale jako tych, którzy przez cały czas mieli wpływ na kształtowanie polityki partii i którzy byli niejako uczestnikami tych zakrętów, tak niekorzystnie odbijających się na całym naszym społeczeństwie.

TOW. KANIA: To pytanie przypomina taki problem: czy ci, którzy byli na wojnie są w stanie zajmować się pokojem? Są w stanie. Jak najbardziej.

DZIENNIKARZ: Czy Zjazd partii, który ma się odbyć, nie wywiera czasem jakiejś presji na członków Biura Politycznego i Komitetu Centralnego?

TOW. KANIA: Może i wywiera, ale nie mówią o tym.

DZIENNIKARZ: Czy Towarzysz Sekretarz nie obawia się tego Zjazdu? Trzeba chyba liczyć się z tym, że będzie gros bardzo twardych pytań i trzeba będzie konkretnie odpowiadać towarzyszom delegatom na Zjeździe...

TOW. KANIA: Na Zjeździe jest ciekawszy instrument niż pytania. Bez pytań można działać.

DZIENNIKARZ: Między innymi kontrowersyjna jest sprawa towarzysza Kociołka, chociaż Towarzysz Sekretarz odpowiedział tu jednoznacznie...

TOW. KANIA: Oczywiście, bo ja głęboko w to wierzę.

DZIENNIKARZ: A jest jeszcze kontrowersyjna osoba towarzysza Olszowskiego...

TOW. KANIA: To też jest faktem, nie da się ukryć...

DZIENNIKARZ: I kontrowersje odnośnie tow. Olszowskiego wynikają stąd właśnie, że środki masowego przekazu, według opinii szerokich rzesz społeczeństwa nie są wiarygodne, nie są rzetelne.

TOW. KANIA: Ale to nie społeczeństwo ma taką opinię, że właśnie sekretarz jest temu winien.

TOW. FISZBACH: Jednak w środkach masowego przekazu jest duży postęp.

DZIENNIKARZ: Dlaczego o gdańskiej komisji konsultacyjno-porozumiewawczej wolno pisać i mówić od dawna, natomiast jest zapis cenzury o takiej komisji w Toruniu, która istnieje już od dłuższego czasu?

TOW. KANIA: Dlatego, że inny charakter ma komisja toruńska niż gdańska. Toruńska — nie jest tajemnicą — chciała tworzyć ogólnokrajowe struktury...

DZIENNIKARZ: Ale gdyby jej pozwolono dłużej działać, to mogłoby się okazać, że jej cele, intencje i wyniki mogłyby zostać ocenione tak samo pozytywnie, jak w przypadku Gdańska. Czy nie podjęto zbyt pochopnej decyzji?

TOW. KANIA: Być może.... lecz reagowano na fakty, jakie były.

DZIENNIKARZ: A jaka jest Towarzysza Sekretarza osobista ocena Torunia?

TOW. KANIA: Nie mam osobistej oceny Torunia.

DZIENNIKARZ: To może Towarzysz Sekretarz wybierze się do tamtejszej organizacji? Ma tam towarzysz zaproszenie.

TOW. KANIA: Pojadę, oczywiście, że pojadę.

DZIENNIKARZ: Jak Towarzysz Sekretarz sądzi, dlaczego jest zapis cenzury na Toruń?

TOW. KANIA: Wybierzemy się może razem do Torunia...

DZIENNIKARZ: Jeszcze takie pytanie: czy Towarzysz Sekretarz ogląda dziennik telewizyjny?

TOW. KANIA: Rzadko, ale oglądam.

DZIENNIKARZ. Co Towarzysz Sekretarz sądzi o nim?

TOW. KANIA: A czy koniecznie potrzebna jest moja opinia na temat dziennika?

DZIENNIKARZ: Ciekawi przecież ludzi, gdyż jest to najbardziej bulwersujący program.

TOW. KANIA: No, to daliście na to pytanie odpowiedź.

DZIENNIKARZ: Kiedy odbędzie się otwarta konferencja prasowa z Towarzyszem Sekretarzem? Kiedy Towarzysz udzieli choć jednego wywiadu prasie czy radiu?

TOW. KANIA: A czy to jest konieczne?

DZIENNIKARZ: Jeszcze nie było porządnego wywiadu.

TOW. KANIA: Kiedyś wywiadów było dużo i ludzie powiedzą, że „nowe wraca..."

DZIENNIKARZ: Czy Towarzysz Sekretarz chce pozostać w cieniu?

TOW. KANIA: To nie jest złe. Tu czyny powinny być na planie.

(„ANTENA")

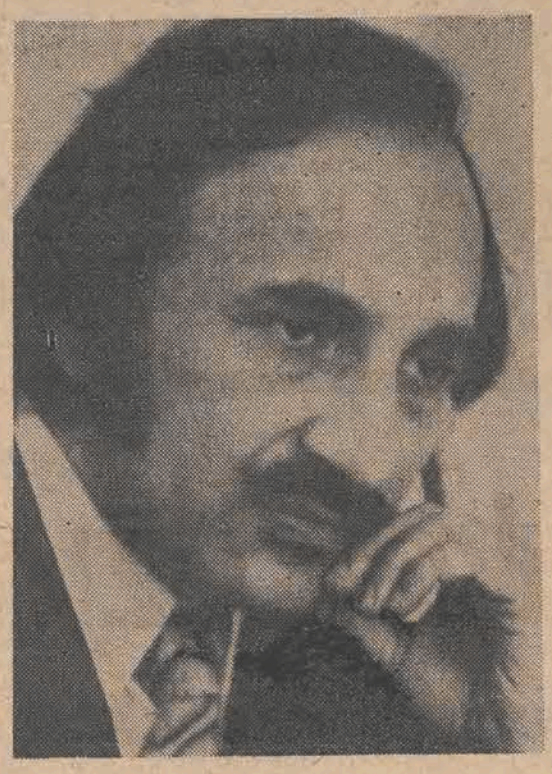

Foto: W. Parys

JERZY SAMUJŁŁO

W poniedziałek był jeszcze w Instytucie, podpisał kilka indeksów. Nie domagał, został więc siłą prawie wysłany przez współpracowników na EKG. W Wielki Piątek był już pogrzeb. Żegnały go tłumy pracowników naukowych PŁ, studentów, kolegów — architektów. Łódź straciła — teraz to dopiero doceniamy — jednego z najbardziej konsekwentnych organizatorów kierunku architektonicznego na Politechnice Łódzkiej. Docent doktor habilitowany architekt JERZY SAMUJŁŁO miał dopiero 49 lat, liczne publikacje naukowe na swoim koncie, trzy nagrody krajowe i zagraniczne w konkursach architektonicznych, udział w zespołach konsultacyjnych w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego, PAN i naszej Radzie Rady Naukowej przy prezydencie.

Nie zdołał odebrać przyznanego mu przez SARP statusu architekta — twórcy, nie doczekał również tytułu profesorskiego, który był tuż — tuż. Byłby to pierwszy architekt — profesor „nasz, łódzki", mimo że łodzianinem Jerzy Samujłło został z wyboru po studiach na Politechnice Warszawskiej, na początku lat sześćdziesiątych. Z Łodzią związał najbardziej czynne i owocne lata swojego życia.

Wbrew oczywistości, wbrew potrzebom miasta i wbrew temu co się mówiło i pisało o konieczności powstania w Politechnice Łódzkiej studiów architektonicznych, działania w tym kierunku napotyka różne, większe i mniejsze i obiektywne i te — bardziej dotkliwe — bo subiektywne miejscowe trudności. Zrozumienie i przychylność dla łódzkich studiów architektonicznych trzeba ciągle zdobywać. Dyrektor Instytutu Architektury i Urbanistyki — Jerzy Samujłło, którego zasługą było właśnie powstanie tej placówki nie należał do działaczy gniewnych, konfliktowych, idących przebojem. Grzeczny, kulturalny, z doskonałymi manierami, działał na zasadzie „wolnego kapania wody", która to woda potrafi drążyć skały. Wykorzystując swoje rozległe kontakty doprowadził do wymiany studentów i współpracy zespołów instytutów architektury w Glasgow, Moguncji, Budapeszcie, z naszym łódzkim. Działał uparcie i skutecznie.

Jego przedwczesne i nagłe odejście pozostawiło, oprócz żalu serdecznego, dużą lukę w dopiero co organizującej się kadrze naukowej architektury i urbanistyki na naszej Politechnice. Zabrakło z dnia na dzień najbardziej zaangażowanego jej przedstawiciela. Nie zapomnijmy o tym.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują: TADEUSZ CHROSCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI GLANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

W ŚRODKU BERMUDZKIEGO TRÓJKĄTA

O PROGRAM ROZWOJU I MODERNIZACJI KULTURY W ŁODZI

Dalszy ciąg ze str. 1

biej. Skończył się on, wiemy, II wojną światową. **Czy mógł przynieść głębsze, wewnętrzne przeobrażenia w świadomości kulturalnej łodzian, takie choćby, jakie wieki przyniosły Krakowowi?** Pytanie chyba retoryczne. To był dopiero początek historii kultury w tym mieście, zawsze przecież przedtem, a i w trakcie tego wznoszenia się, zaniedbanym, biednym, zaharowanym. Jeśli okres ten pozostawił jakiś trwały ślad, to przede wszystkim w świadomości grup twórczych i poszczególnych jednostek, które jednak albo wyginęły, albo rozpełzły się po Polsce i świecie. I jeśli teraz odwołujemy się do tradycji międzywojennych, da się to wołanie porównać do upartej, szperackiej pracy archeologa, wydobywającego okruchy skarbów z mierzwy, z gliny. Poza kolekcją sztuki nowoczesnej, poza przetrzebioną dokumentacją, bardzo niepełną ikonografią, także w sensie materialnym nie pozostało po tym okresie nic. Literalnie nic, co by było tworzone z myślą o potrzebach kultury. Już wtedy potrzeby te łatano, „adaptowano do...", upychano między. Wtedy jednak było to nic dziwnego. To były początki. Prehistoria. Tworzenie świata z chaosu.

Po okupacyjnym wirze — znów wyniesienie. Krótko, jako sygnał sprawdobrze znanych: Łódź faktyczną stolicą kulturalną Polski, szeroki oddech, artyzm, cyganeria, literaci, aktorzy, zachłyśnięcie perspektywą. Trwało to raptem dwa lata. I nagle strasznie ucichło: wrzawa powojennego exodusu zmieniła się w brzęczenie w uszach. Łódź została opuszczona, samotna, ze swoimi kompleksami prowincji, tym bardziej pogłębionymi, że otarła się przecież o samo szczęście, o wizję metropolii, a została znów szara, brudna, schorowana.

I znów mozolne, ale to bardzo mozolne wynoszenie się, także po zakretach polityki kulturalnej. Teatr Dejmka jako fakt i teatr Dejmka jako symbol. Teatr Wielki jako fakt i Teatr Wielki jako wyraz gigantycznego kompleksu miasta, które miało to nieszczęście w szczęściu, że nie zostało zburzone i chciało mieć wreszcie coś naprawdę nowego, swojego, zbudowanego od podstaw. Sztuka dla mas i po prostu sztuka tworzona przez artystów. I ciągle miasto oporne, trudne, ze świadomością kulturalną rosnącą na festynach, na akademiach ku czci, w sprawozdaniach, trudną jednak do zweryfikowania w kasie kina, na widowni filharmonii, teatru, w sali wystawowej. Tak mijają całe lata.

Kształtujące się, rozwijające się środowiska twórcze, zaczynają coraz wyraźniej dostrzegać szczelinę między tym, co robią, a tym, czego się od nich wymaga i jeszcze tym, czego by od nich oczekiwali tzw. odbiorcy. Pogłębiają się nastroje frustracyjne, twórcy miotają się między sobą, mecenatem, który po okresie rozluźnienia znów z wolna zamienia się w dyktat, a odbiorcami, którym sen z oczu spędza nie pytanie — jak interesująco, z poczuciem duchowego rozwoju spędzić czas, lecz w ogóle — w jaki sposób, kiedy i za co żyć.

Jednocześnie jednak w środowiskach twórczych narasta przekonanie o potrzebie zmian, o konieczności racjonalnego ustosunkowania się do zaistniałej sytuacji. Przekonałem się o tym już osobiście w trakcie dyskusji, jaką, nie powiem, że bez obaw ale jednak — zainicjowałem na łamach „Dziennika Popularnego", jeszcze w początkach roku 1970, artykułem „Przeklęta przeciętność" w cyklu „Teatr, jaki mógłby być". Dyskusja ta, przedmiotem ataku której były władze kulturalne Łodzi, ale i środowisko teatralne, spotkała się, o dziwo z bardzo przychylnym przyjęciem tegoż środowiska, choć owszem, zasygnalizowane zostały w niej także charakterystyczne dla prowincjonalnego sposobu myślenia, postawy kompleksu wyrażającego się skrótem „co o tym mogą pomyśleć inni". Bardzo charakterystyczny to pogląd, nie raz w dziejach Łodzi kulturalnej tłumiący, zwłaszcza jeśli był reprezentowany przez wpływowe i zainteresowane władze, wszelką myślą krytyczną.

Zmiany pogrudniowe, nadzieje społeczne nimi rozbudzone, nie pozostały bez wpływu także na atmosferę w środowiskach twórczych, skłonniejszych już do autoanalizy, nie zajmujących pozycji jeża, jaką się przyjmuje, gdy się jest w sytuacji bez wyjścia. Pytania moje zadane w tymże „Dzienniku" w listopadzie 1971 r. i w październiku 1972 „Dlaczego w trzeciej lidze" i „Kto z kim i po co" (ma się integrować) wywołały wprawdzie lokalne burze, ale ferment był z gatunku pozytywnych. Myślę to samo i dziś, sprawa jest aktualna do dziś, więc się zacytuję, oszczędzając czas i energię:

„Mogą się środowiska twórcze zespalać wokół zamierzeń ambitnych i trudnych, mogą się również spotykać na płaszczyźnie życia ułatwionego. Nawoływanie do integracji, mówienie o niej jako o panaceum na wszelkie schorzenia środowiska, jest więc czasem czynnością pochopną, niekiedy przynieść może więcej szkody niż pożytku. Wiele zależy od tego, kto z kim, a przede wszystkim po co się integruje.

Przed niektórymi rodzajami integracji niech nas bogi chronią. Niech nas chronią przed integracją zadowolonych z siebie, przed integracją tych, co to mówią, że wszystko jest już cacy i mówić tak będą zawsze, w każdych okolicznościach."

Poczęły się jednak środowiska integrować sensownie. Wokół zamierzeń ambitnych. Wcześniej już wystartował z hukiem i w ogólnopolskim blasku Teatr Wielki, przynosząc ze sobą Łódzkie Spotkania Baletowe. Środowisko plastyczne rozpoczęło cykl wielkich, ogólnopolskich wystaw w cyklach trzyrocznych, m.in. Triennale Tkaniny Unikatowej i Przemysłowej. Obudziły się teatry. Powstała koncepcja budowy Muzeum Sztuki W ogóle zaczął się ruch na skalę dotąd niespotykaną, dającą się porównać co najwyżej z ożywieniem jakie zapanowało w Łodzi tuż po wojnie. **Okazało się, że kiedy znajdzie się trochę** (trochę, bo nie przesadzajmy, że było dużo) **pieniędzy, a przede wszystkim — kiedy jest nadzieja — zrobić można bardzo wiele.** A przynajmniej rozpocząć robotę.

Taki klimat panował w czerwcu 1974, kiedy to zorganizowano plenum KŁ PZPR poświęcone sprawom kultury. Wraz z Wojciechem Ekiertem, ówczesnym zastępcą kierownika Wydziału Kultury opracowywałem zasadniczy, zbiorczy materiał — „Analiza stanu obecnego oraz kierunki rozwoju kultury w Łodzi", pamiętam więc dobrze atmosferę bez mała euforii, w jakiej tworzony był zarys Łodzi kulturalnej lat osiemdziesiątych. **„Kształtując perspektywy rozwoju kultury w Łodzi oraz Łodzi — jako centrum regionu i ważnego ośrodka kulturalnego i naukowego w kraju, nie można się zadowalać wnioskami, jakie wypływają z analizy stanu obecnego. Po pierwsze trzeba brać pod uwagę dynamiczny charakter przemian gospodarczych i społecznych w Łodzi i w regionie łódzkim. Związany jest on z szybko rosnącymi potrzebami kulturalnymi społeczeństwa. (...) Po drugie — kształtując zwłaszcza materialną bazę rozwoju kultury, trzeba sobie zdawać sprawę z tego, iż Łódź, na tle innych wielkomiejskich ośrodków, ma w tej dziedzinie duże opóźnienia. (...) Po trzecie — biorąc pod uwagę predyspozycje i ambicje Łodzi do utworzenia z miasta według nomenklatury „Prognozy rozwoju kultury w Polsce do roku 1990" — ośrodka kultury I stopnia, należy rozwijać obecne i tworzyć nowe instytucje oraz popierać kolejne inicjatywy o znaczeniu ponadlokalnym"** Itd. itp. A także bardziej już konkretnie. W tejże „Analizie", uznanej przez plenum za podstawę do podjętej stosownej uchwały, znalazły się **koncepcje tworzenia ogólnomiejskiego, dzielnicowych i osiedlowych centrów kultury, postulaty budowy nowego gmachu Teatru Powszechnego** (real. — 1977—1979), **Galerii pod Arkadami** (jest), **Galerii Sztuki** (1976—80), **zespołu kin festiwalowych** (1977—80), **gmachu filharmonii** (1976—1980), **kilku nowoczesnych kin wzdłuż ulicy Piotrkowskiej, Muzeum Sztuki** (1977—80). Itd. itp.

Obecny na plenum tow. Jerzy Łukaszewicz, ówczesny sekretarz KC PZPR **„mówiąc o potrzebie rozwoju bazy kulturalnej podkreślił konieczność uwzględniania zawsze hierarchii potrzeb społecznych"**; nie bez powodu więc uchwała KŁ PZPR była już w swym brzmieniu enigmatyczna, nie odniosła się bezpośrednio do potrzeb inwestycyjnych, w całości scedowała ten obowiązek na Urząd Miasta Łodzi.

Już właściwie wtedy można się było czegoś domyślać. Ktoś tam chyba wiedział, towarzysz Łukaszewicz na pewno, że zaczynamy schodzić w dół, co z reguły przede wszystkim odbija się na kulturze; że plany planami, a życie pójdzie swoją koleiną, że to, o czym się mówiło i o czym się decydowało podczas plenum, było elementem gry ze społeczeństwem epoki propagandy sukcesu i „drugiej Polski".

Rozpęd jednak działał. O inwestycjach co prawda poczęto mówić z biegiem miesięcy, a zwłaszcza lat — coraz ciszej, ale przecież działo się dużo. Rozpoczyna się kolejna świetna passa Teatru Nowego pod dyrekcja Dejmka, który właśnie powrócił do miasta młodości. Ale Dejmek stawia warunki — przebudowa teatru. Do filharmonii przychodzi Henryk Czyż — ale i on nie zamierza siedzieć długo w starym, rozsypującym się gmachu. Powstaje wiele nowych placówek i instytucji, wśród nich ZRF „Profil", z którym wiąże się płonne, niestety, nadzieje, że stanie się **„wezłem integracyjnym nie tylko środowiska filmowego, lecz również i innych twórczych środowisk Łodzi — plastycznego, literackiego, aktorskiego i muzycznego"**, powstaje filia KAW, szkoła baletowa. Większość z nich jednak, poza Muzeum Historii Miasta Łodzi, pozbawiona jest własnej bazy, a niektóre i koncepcji. Tworzy się swoisty domek z kart na niepewnym w dodatku gruncie; bywa, że kartami gra się, używając waletów w roli asów. Obok bardzo trafnych, podejmowane są z gruntu chybione decyzje personalne. Z Teatru Wielkiego np. odchodzi świetny jego organizator i dyrektor Stanisław Piotrowski, co będzie brzemienne w skutki: wojny podjazdowe, rozpoczęte przed jego odejściem zespół okupi degrengoladą artystyczną i długo trwającym rozbiciem wewnętrznym.

Ożywienie trwa jeszcze. Jeszcze trwa. Jeszcze rodzą się nowe inicjatywy środowisk twórczych. Powoli, powoli, zaczyna to jednak przypominać fin-de-siecle'owego kankana, tańczonego rozpaczliwie i z uporem o czwartej nad ranem.

Jednocześnie bowiem społeczeństwo zaczyna z wolna, ale ciągle, odczuwać rosnące niedostatki życia. Zdobycze materialne pierwszych lat siedemdziesiątych, sprzęgnięte z ideologią konsumpcji, nie skłaniały, zwłaszcza tu, w mieście najbiedniejszym z dużych miast Polski, do zwiększania udziału kultury w prywatnym budżecie czasu i wydatków. Coś mnie widać gryzło w związku z tym, skoro w swoich wycinkach z roku 1976 odnajduję taki passus:

„Czy w praktyce dnia codziennego zawsze pamiętamy o tym, że rzecz dla człowieka, a nie człowiek dla rzeczy? Czy tak rzadko spotykamy ludzi, którym rzecz zastępuje ideę, którzy słowa być i mieć łączą znakiem równości? Którzy sukces zbiorowy akceptują tylko i wyłącznie wtedy, kiedy go mogą zaraz, natychmiast, przeliczyć na sukces własny?

Fakt istnienia w społeczeństwie socjalistycznym nie uwalnia człowieka automatycznie od pokus sprzecznych z duchem idei. Socjalizm sam w sobie nie ma tej mocy, jeśli nie jest przeżywany dostatecznie głęboko, jeśli każdemu działaniu nie towarzyszy refleksja nie tylko „na dziś", na jutro, ale i perspektywiczna. Refleksja dotycząca właśnie jakości życia, kształtu szczęścia (...).

Nie jest to żadna chińska mowa do polskiego ludu, socjalizm nie jest bowiem ideologią konsumpcji, ani też ascezy. Nie wstydzi się rzeczy, ale widzi człowieka ponad nimi, żyjącego pełnią życia. Cóż to jednak jest ta pełnia, cóż to jest?

Pytania te powinna gromadzić i zadawać, zadawać bez przerwy, w imieniu ideologii, kultura i sztuka socjalistyczna."

Tymczasem pełnia życia zaczęła nam właśnie jakby gdzieś uciekać. Coś się zaczęło rozmieniać na drobne, tym bardziej, że ludzie zachłyśnięci przed chwilą wizją dobrobytu, tracąc ją — tym łapczywiej poczęli zabiegać o utrzymanie tego, co zdobyli.

A w skali szerszej — ciągle jeszcze podczas narad mówiono o trójjedności polityki, ekonomiki i ideologii (podczas narad z aktywem kulturalnym stawiano znak równości między kulturą i ideologią), podczas gdy z planów wypadały coraz to nowe inwestycje kulturalne, a osiedla mieszkaniowe w dalszym ciągu budowano — cóż tam bez domów kultury — bez bibliotek! Zaczyna powracać frustracja: w Polsce sukces, w Łodzi — pustki na widowni, w sali koncertowej, wystawowej. Da capo al fine. Trójkąt bermudzki zaczyna się zarysowywać bardzo wyraźnie. Dostrzega go Zygmunt Greń, a tak w ogóle znów poczęto mówić o specyfice Łodzi, o specyfice łodzian, o tym, że niczego w tym mieście nie da się zrobić.

Mnożą się w prasie ogólnopolskiej ataki publicystów, którzy, zaopatrzeni w końskie okulary, nie umieją, czy też nie chcą dostrzec, że nie wszystko co w Łodzi złe, w Łodzi się zaczyna, że **odpowiedzialność trzeba złożyć, poza narastającymi trudnościami gospodarczymi, poza nieudolnością miejscowych decydentów politycznych i administracyjnych, również na politykę władz centralnych, ubezwłasnowolniającą poczynania terenu także w zakresie kultury.** Charakterystycznym przejawem tego rodzaju postawy jest artykuł „Słabe wiosła" („Polityka" nr 6/1979), którego autorka, zadając „gorzkie pytanie" dlaczeg takie wielkie miasto nie może się zdobyć na odpowiadające mu rangą wydawnictwo", jakby nie wiedziała, że odpowiedzi trzeba szukać nie tylko w Łodzi, lecz także w Warszawie, w Centralnym Zarządzie Wydawnictw Itd. itp.

CO JEST

Jak to jest z tą Łodzią naprawdę. Na pewno — drugie co do wielkości miasto Polski. Na pewno — miasto to w ostatnich latach, także w ostatnich latach dziesięciu, rozwinęło się znacznie, za sprawą Programu Rozwoju i Modernizacji Łodzi (notabene wymuszonego społeczną presją, ale to już inna sprawa) Nowe i zmodernizowane zakłady, nowe osiedla mieszkaniowe.

Na pewno — należy też to miasto do najbardziej zapracowanych. I — choć podejmowano wiele wysiłków dla zmiany monokultury łódzkiego przemysłu — w dalszym ciągu jest Łódź miastem o największym procencie kobiet pracujących, w tym — i pracujących na trzecią zmianę. To są po prostu fakty.

Niezaprzeczalny rozwój Łodzi w latach ostatnich przyniósł obok zmian korzystnych także niekorzystne. Rozbudowały się osiedla na obrzeżach, ale nie ma tam czym dojechać, sieć komunikacyjna jest przeciążona poza granice jej wytrzymałości. W wielu osiedlach nie ma podstawowych obiektów infrastruktury handlowych (co akurat dziś, w obecnej sytuacji, nie jest może nazbyt przekonywającym argumentem, nie chodzi bowiem o sklepy, ale o to by cokolwiek, gdziekolwiek można było kupić), przedszkoli i żłobków (bardzo ważne w mieście kobiet pracujących), nie mówiąc już o żenujących niedostatkach bazy kulturalnej. Wielkie przenosiny do nowych osiedli cieszą ludzi, ale jednocześnie rozrywają wcześniej ukształtowane więzi, zmuszają do radykalnych zmian w sposobie i rytmie życia, a ponadto — to oczywiste — pochłaniają niemałą część zasobów materialnych.

Można powiedzieć — to wszystko prawda, ale Łódź nie jest przecież wyjątkiem pod tym względem; nie tylko tu następują tego rodzaju zmiany. Odpowiem wtedy owszem, **jest jednak Łódź drugim co do wielkości miastem kraju, niedoinwestowanym i zabiedzanym przez całe dziesięciolecia — dotyczy to nie tylko miasta jako jednostki gospodarczej, lecz i jego mieszkańców.** W mieście o tej skali, bez mała milionowym, wszelkie niekonsekwencje i zwichnięcia rozwoju wywołują skutki w gigantycznej skali — skumulowane i nawzajem się potęgujące. **Obecnie kryzys przeżywa cała Polska: w Łodzi jednak objawił się on wcześniej.** Ze spraw namacalnych, łatwych do zweryfikowania: co innego znaczy np. uboga komunikacja w mieście 50—100-tysięcznym, co innego w kolosie, w którym miejsce pracy dzieli od miejsca zamieszkania odległości niejednokrotnie 10—15 kilometrów, a i większe. Inaczej wygląda życie w mieście, w którym, jeśli braknie chleba w sklepie osiedlowym, wystarczy przejść kilometr, dwa, inaczej zaś, gdy trzeba się znów tłuc do centrum, te 10, 15. Zupełnie inaczej kształtuje się tu bilans czasu, a i wydatek energii, jaką trzeba użyć na pokonanie trudności dnia codziennego.

Co to wszystko ma do kultury? Do uczestnictwa w kulturze? Pytania już chyba zbędne, odpowiedzi są oczywiste. A wnioski? — **Wszelkie programy dotyczące rozwoju kultury muszą być opracowywane — nie jak dotychczas — w izolacji od tego, co się dzieje w innych dziedzinach życia, lecz w ścisłym sprzężeniu z całokształtem programowania, planowania i działań, w tym także w dziedzinach pozornie od spraw kultury odległych, nie związanych z nią.** Rozrywanie tych związków, myślenie o każdej z tych spraw z osobna, prowadzi do fatalnych skutków. A taka była i jest praktyka uprawiana przez ludzi, przez władze bez wyobraźni społecznej.

Na przykładzie Łodzi może jeszcze Katowic, najbardziej jaskrawo można wykazać rezultaty jakie ciągnie za sobą kaleki, chaotyczny rozwój, stymulowany metodą interwencyjną: zasypywanie jednych dziur powoduje powstawanie innych, niekiedy jeszcze głębszych. Na przykładzie Łodzi jaskrawo można przedstawić skutki, jakie tego rodzaju rozwój przynosi dla wszelkich działań z kręgu kultury i sztuki. I nie ma co na Łódź wydziwiać — Łódź jest jaka, jaka jest nie dlatego, że chce taką być, że taki jest jej wrodzony charakter. **Specyfika Łodzi ukształowana została, owszem przez jej historię, której przecież sobie nie wybierała, przez politykę władz miasta, ale i przez politykę, jaką w stosunku do niej prowadziły władze centralne przez cały okres istnienia Polski Ludowej.** Przez cały ten czas miasto to jest na drugim, trzecim planie, jeśli chodzi o zaspokajanie jego potrzeb, mimo że — aby już sięgnąć do argumentów najcięższych, bo poniżej pasa — przemysł lekki, najbardziej w nim ważący, przyniósł zawsze największą akumulację. Innymi słowy — **Łódź zawsze niewspółmiernie więcej państwu, krajowi dawała, niż od państwa brała. I wcale nie za demagogiczne uważam hasło, które bym rzucił, gdybym wierzył, że ktokolwiek poza Łodzią je podchwyci — o realizowany wysiłkiem całego kraju, który jest dłużnikiem miasta — rządowy Program Rozwoju i Modernizacji Kultury w Łodzi. W każdym razie chciałbym zachęcić posłów z terenu Łodzi, aby wniosek taki, jeśli uznają go za umotywowany, przedstawili pod rozwagę Sejmowi.**

Z sytuacją, w jaką zabrnęliśmy, kiedy o zabezpieczenie wołają najbardziej elementarne potrzeby kultury, kiedy niszczeją należące do najbogatszych w Europie zbiory sztuki nowoczesnej łódzkiego Muzeum Sztuki, gdy rozpada się wraz z gmachem zespół Filharmonii Łódzkiej, gdy Teatr Wielki pozbywa się swego repertuaru paląc dekoracje, bo nie ma gdzie ich składować, kiedy sypią się kina jedno po drugim, kiedy nie ma mowy o ściągnięciu większej wystawy plastycznej, bo nie ma gdzie jej eksponować, gdy za książką trzeba wędrować całymi kilometrami, **samo miasto własnym wysiłkiem sobie nie poradzi.** I nie ma co tu wybierać — albo, albo. Wszystko, niestety, trzeba by robić równocześnie. I to chyba właśnie trzeba uświadomić Polsce.

W sytuacji, jaka zaistniała; źle — **w sytuacji, w jaką Łódź została wpędzona, miasta tego nie wolno zostawiać sobie samemu.** I tak jak istnieje program rewaloryzacji Krakowa, potrzebny i niezbędny, **zaistnieć powinien program rewaloryzacji najlepszych tradycji kulturalnych Łodzi, rodzonych z olbrzymim trudem i wysiłkiem w kręgach lewicy społecznej międzywojnia i już w latach powojennych, przez wybitnych artystów, którzy nie tylko z winy „złego miasta", ale raczej — razem z nim, grzebali swoje talenty i idee.** Teraz, w roku 1981, pytać, czy mamy prawo do zbudowania Muzeum Sztuki, czy też filharmonii, kiedy od wielu, wielu lat, Polska powinna zdawać sobie sprawę z potrzeb tego miasta i obowiązków, jakie ma wobec niego?

Na dobrą sprawę koncepcyjny grunt do podjęcia przebudowy, a właściwie budowy kultury w Łodzi, istnieje. Wystarczy sięgnąć do archiwów — do dokumentów wspomnianego plenum KŁ PZPR z czerwca 1974, znanych chyba dobrze i w sferach ministerialnych. Dokumenty te, uaktualnione w związku ze zmianami terytorialnymi, ważne byłyby i dziś, mimo że od ich sformułowania minęło prawie 7 lat...

JERZY KATARASIŃSKI

CZYM ODDYCHAMY W ŁODZI?

(Dalszy ciąg ze str. 1)

— W jako takiej kondycji. I w dodatku nie końska odporność, a odporność wołu, jeśli przyjąć za prawdę, iż jest on najtwardszym zwierzęciem pod słońcem.

— Miejmy nadzieję, że w drodze ewolucji rodzaj ludzki wytworzy nowy mechanizm oddychania i metabolizmu co pozwoli mu trwać, wchłaniając nawet związki toksyczne. Ale żarty na stronę. Uczeni są pełni obaw, czy ta umiejętność adaptacji organizmu do zmieniających się warunków środowiska pozwoli zachować człowiekowi właściwą mu kondycję psychiczną i umysłową. Warto o tym pamiętać, myśląc o przyszłości narodu. Panie doktorze, gdzie i co spada na łodzian z powietrza?

— Najwięcej zanieczyszczeń występuje w centrum miasta. Średnio w ciągu roku, na jeden hektar spada tu z wodą opadową, m.in., 852 kg związków siarki, 84 kg potasu, 74 kg wapna, 49 kg chlorków, 26 kg miedzi i ponad 3 kg żelaza. W powietrzu znajdują się takie substancje trujące, jak: chlorowodór, toluen, benzen, węglowodory aromatyczne, tlenek węgla i akrylonitryl, czyli cyjanek winylu — wszystko to emitowane przez zakłady przemysłowe i usługowe oraz pojazdy mechaniczne i gospodarkę komunalną. W mieście i regionie notuje się często przekroczenia dopuszczalnych stężeń zanieczyszczeń gazowych. Do ubiegłego roku w całej Łodzi występowały duże przekroczenia stężeń dwusiarczku węgla i siarkowodoru, a częstotliwość ich występowania sięgała 60 procent. Dopiero dzięki likwidacji produkcji wiskozy w ZW Chem. „Chemitex—Anilana" Łódź przestała cuchnąć siarkowodorem i wreszcie, po dwudziestu kilku latach podtruwania, mieszkańcy miasta odetchnęli z ulgą. Należy jednak pamiętać, że te zakłady nadal emitują akrylonitryl, gaz bez zapachu, lecz wpisany na listę związków rakotwórczych.

— Powietrze i woda to dwa najważniejsze składniki egzystencji człowieka. Bez nich nie można żyć.

— Mało tego, są to również sfery, w których wszelkie zmiany są przenoszone bardzo szybko i na duże odległości. Są to podstawowe nośniki zanieczyszczeń i one decydują o zasięgu ich oddziaływań. Na szczęście te środowiska potrafią się stosunkowo szybko regenerować. Nie można tego powiedzieć o glebie, na którą te wszystkie zanieczyszczenia spadają. A bez gleby także żyć nie można. Niestety, o jej roli w życiu człowieka zapomina się nazbyt łatwo. Skutki tej beztroski są dziś aż nadto bolesne

— Czy zanieczyszczenia powietrza atmosferycznego nad naszym regionem są następstwem emisji zanieczyszczeń tylko łódzkich zakładów przemysłowych?

— W atmosferze nie można wydzielić granic. W ogólnej cyrkulacji atmosferycznej zanieczyszczenia powietrza przenoszą się z bardzo daleka, z innych dużych uprzemysłowionych obszarów. Notowaliśmy w Łodzi bardzo wysokie stężenia zanieczyszczeń, pochodzących z bardzo odległych źródeł, na przykład z obszarów na których dokonywano doświadczalne wybuchy atomowe w atmosferze, jak również powodowane erupcjami wulkanów Tak więc stopień czystości powietrza nad Łodzią jest uzależniony także od emitorów usytuowanych na obszarach sąsiadujących z naszym miastem i regionem. Ale sama Łódź, o czym powiedziałem już wcześniej, też emituje bardzo dużo zanieczyszczeń

— Nasze miasto wyrosło na przemyśle i teraz ponosi konsekwencje swego rodowodu. To przemysł uwarunkował stan sanitarny Łodzi od zarania jej dziejów.

— Z pewnością. Duże znaczenie ma tutaj fakt jego koncentracji w centrum układu miejskiego. Przemysł powoli zmienia swoją lokalizację, ale wysokie kominy nowych zakładów na obrzeżach miasta przerzucają i tak zanieczyszczenia na większe odległości, sięgające śródmieścia. Do tego w centrum mamy najwięcej niskich źródeł emisji i stąd ogromne powierzchniowe zanieczyszczenia, zwłaszcza siarką. W zanieczyszczaniu powietrza duży udział mają również kotłownie szklarni, powodujące występowanie wyraźnie zauważalnych dużych ilości pyłu i stężeń siarki w rejonach upraw ogrodniczych, na przykład między Łodzią a Pabianicami.

— Stąd wniosek, że tzw. strefy ochronne wokół zakładów przemysłowych mają raczej znaczenie psychologiczne i, że w gruncie rzeczy, decydującą rolę w zabezpieczeniu mieszkańców miasta przed skutkami zanieczyszczeń powietrza odgrywa właściwy układ miasta. Słowem urbanistyka.

— Zabezpieczenia sensownie zaplanowane odgrywają pozytywną, choć rzeczywiście ograniczoną, rolę. I faktycznie, obok zabezpieczeń technicznych, o wiele radykalniej chroni mieszkańców miast przed zanieczyszczeniami z powietrza trafnie rozwiązany układ urbanistyczny. Mam tu na myśli przede wszystkim właściwe rozmieszczenie zieleni i zabudowy oraz układ ulic, który stanowi przecież wentylacyjne kanały miasta. Na przykład przebicie przez park Poniatowskiego, alei Włókniarzy, wycięcie drzew i wytyczenie prostego „kanału wentylacyjnego" spowodowało, iż w określonych warunkach atmosferycznych czuć przykry zapach rzeźni na obszarach miasta, na których przedtem go nie odczuwano.

— O ile mi wiadomo, w „Anilanie" ma powstać nowy oddział produkcji włókien sztucznych z surowców dowożonych z toruńskiej „Elany". Jeśli technologia produkcji będzie taka sama, lub podobna, jak technologia produkcji wiskozy, to powietrze w Łodzi, już nieco zregenerowane, zacznie nas znów zatruwać...!

— Trzeba powiedzieć otwarcie: powietrze atmosferyczne w Łodzi jest nadal silnie zanieczyszczone, mimo zlikwidowania produkcji wiskozy. Pamiętajmy, że „Anilana" emituje nadal akrylonitryl! Sytuacja jest ciągle poważna. Uważam, iż władze miasta nie mogą dopuścić do rozpoczęcia takiej produkcji w „Anilanie". Nie powinny wyrazić zgody na instalowanie w Łodzi maszyn, których nie udało się zagospodarować w Pile. Taka nowa, potężna porcja zanieczyszczeń gazowych w Łodzi jest nie do przyjęcia.

— Obawiam się, że może zaistnieć takie niebezpieczeństwo, bowiem w niedalekiej przeszłości stawiano nieraz społeczeństwo Łodzi w obliczu faktów dokonanych, narzucając władzom miejskim decyzje zapięte na ostatni guzik. Bez konsultacji.

— Chciałbym, żeby się pan mylił. W każdym razie nie można dopuścić do takiej sytuacji, ponieważ dodanie dziś do powietrza atmosferycznego w Łodzi większej lub mniejszej porcji zanieczyszczeń pogłębi, i tak już groźny w obecnym wymiarze czynnik chorobotwórczy w mieście i regionie. Także już teraz należy negatywnie ocenić koncepcję budowy kolejnego zespołu energetycznego na północ od Łodzi — w Rogoźnie, i przypomnieć o rzuconej kiedyś przez prof. Zycha propozycji wybudowania tam uzdrowiska. Czas również zwrócić uwagę na konieczność modernizacji przemysłu w Łodzi, likwidację trzech zakładów azbestowych i rozważne ustosunkowanie się do lokalizacji EC V. W środowiskach naukowych coraz częściej odzywają się głosy, że stanęliśmy u progu zagrożenia populacji!

— No właśnie, a tu jeszcze Bełchatów. Czy można już dziś powiedzieć, jaki będzie wpływ emisji zanieczyszczeń z Bełchatowa na Łódź i Warszawę, te dwie największe aglomeracje w Polsce?

— Na razie mamy tylko prognozy. W zakładzie zaczęliśmy od maja ubiegłego roku wykonywać analizy chemiczne opadów atmosferycznych na obszarze od centrum Łodzi aż po Bełchatów, obserwując ich aktualny skład chemiczny. Następnie będziemy badać zmiany zachodzące w ich składzie w trakcie uruchomiania elektrowni i po jej uruchomieniu. Jesteśmy jedną z wielu instytucji zajmujących się badaniem przyszłego oddziaływania Bełchatowa na naturalne środowisko człowieka. To pozwoli wyciągnąć pierwsze wnioski Niemniej, na podstawie tego co już wiemy można powiedzieć, że wpływ Bełchatowa na te dwie aglomeracje, i oczywiście na sąsiednie pozostające w zasięgu wysokich emitorów elektrowni, będzie bardzo wyraźny. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż 300-metrowej wysokości kominy będą sprzyjały przenoszeniu pyłów i zanieczyszczeń gazowych na dziesiątki kilometrów, a przy odpowiednich warunkach atmosferycznych — nawet na setki kilometrów. Takie obliczenia wykonano już w ośrodkach naukowo-badawczych. Odległości nie odgrywają tutaj roli, nie ma granic, nawet państwowych, które by mogły zagrodzić drogę przenoszeniu się pyłów i gazów na wielkie odległości. Skażenia powietrza, wody i gleby zagrażają dziś całej populacji ludzkiej i są przedmiotem badań, konsultacji i działań wyspecjalizowanych instytucji ONZ oraz szerokich międzynarodowych zespołów uczonych na całym świecie.

— Planowana produkcja w momencie powstawania zakładów przemysłowych nie jest groźna, ponieważ programy jej działalności biorą pod uwagę jakość surowców i wielkość produkcji, a zatem elementy, jakie może wytrzymać środowisko.

— Owszem, ale po ich uruchomieniu z reguły przekracza się wcześniej uzgodnione normy: węgiel jest gorszego gatunku, silniej zanieczyszczony siarką, wskutek czego wywiera bardziej intensywny, destrukcyjny wpływ na naturalne środowisko człowieka. Poza tym produkcja jest większa. Nieraz też wprowadza się inną technologię, która bardziej zatruwa środowisko. A to już jest groźne. W takiej sytuacji powinien zająć nieprzejednane stanowisko czynnik kontroli społecznej, egzekwując od producenta trzymanie się zaplanowanych parametrów produkcji. Szczególnie rygorystyczne postępowanie w tym zakresie jest konieczne w dużych zespołach miejskich.

— Krótko mówiąc, ów potężny emitor zanieczyszczeń, usytuowany w samym centrum Polski będzie — w zależności od warunków atmosferycznych i pór roku — siał gazy i pyły na prawo i lewo...

— Sporządzone dokumenty pozwalają twierdzić, że jeśli destrukcyjne oddziaływanie emisji Bełchatowa będzie trwało przez około 40 dni w roku, to na aglomeracje Łodzi i Warszawy, jak również na sąsiednie, spadną w tym okresie ogromne ilości siarki. Groźniejsze jest jednak to, że spaliny emitowane z Bełchatowa będą zawierały metale ciężkie oraz wiele innych substancji, a wśród nich także promieniotwórcze.

— Cóż, pozostaje nam tylko z ufnością patrzeć w elektrofiltry...

— Nic z tych rzeczy. Wyłapią one wprawdzie sporą ilość pyłu, ale jednocześnie smuga spalin przepuszczona przez cały system elekrofiltrów zostanie naelektryzowana. Nastąpi w ten prosty sposób dodatkowa jonizacja cząstek, które ochoczo pójdą w Polskę. Mamy coraz mniej wątpliwości co do negatywnego oddziaływania tego typu skażeń pola elektromagnetycznego na organizm człowieka, o czym przekonują pracę prof. Sedlaka. Tak więc emisja z 300-metrowej wysokości kominów nie będzie obojętna dla ludzi zamieszkujących obszary, leżące w promieniu od 50 do 200 kilometrów od bełchatowskich emitorów.

— Straszne to, ale jeszcze nie najgorsze, bo, o ile mi wiadomo, w Bełchatowie mają być zlokalizowane ośrodki przemysłowe, w tym wielka huta aluminium. Włos się jeży!

— Tak, między innymi, huta aluminium. Decyzja w sprawie budowy elektrowni w Bełchatowie niesie z sobą konieczność kolejnych działań gospodarczych. Sądzę, że można postawić tezę, za którą przemawia doświadczenie i praktyka: w Bełchatowie powstał ogromny ładunek energetyczny i będzie go chciał wykorzystać niejeden resort. Stąd koncepcja zbudowania tam huty aluminium.

— Eksplozja zdrowego rozsądku, jawność życia społecznego, które przyniósł z sobą proces odnowy w naszym kraju, a także dramatyczna sprawa huty aluminium w Skawinie, przyhamowały te zapędy. Pytanie tylko, na jak długo? Bo argumentacja jest prosta: z punktu widzenia ekonomicznego będzie korzystniej zlokalizować tutaj zakłady przemysłowe, niż — ponosząc straty — przesyłać energię elektryczną.

— Tej konkluzji nie można nic zarzucić, tylko dlaczego nie przemyślano wcześniej skutków budowy w Bełchatowie takiego giganta. Uważam za kolosalny błąd, że teraz rozpatruje się ekologiczne oddziaływanie Bełchatowa wyłącznie jako zakładu energetycznego Należy wyraźnie powiedzieć, czy będzie to tylko elektrownia i nic więcej, czy też będzie się tutaj rozwijać ośrodek przemysłowy I to potężny. Jeśli ośrodek przemysłowy, to należy dokładnie sprecyzować jego charakter i zakreślić bariery jego rozwoju, uwarunkowane ograniczoną — wiadomo że niewielką — odpornością środowiska przyrodniczego Bełchatowa oraz ekologicznym zagrożeniem sąsiednich regionów. W tym także tak zagęszczonych miast, jak Łódź i Warszawa. Trzeba wziąć pod uwagę, co wolno tu zlokalizować, a czego — w interesie społecznym, w interesie załóg robotniczych — nie wolno. Nie można kilka milionów ludzi postawić wobec faktów dokonanych.

— Tak, sprawa jest pilna i nie zwlekając należy ją zaprezentować na forum społecznym, nim zaczną się korowody z podejmowaniem decyzji i protestami ludności. Tym bardziej, że skażenia chlorowodorami i fluorem dotknęłyby chyba także nasze zbiorniki wodne.

— Ależ oczywiście. Łódź czerpie wodę z Pilicy, do której spadają wszystkie zanieczyszczenia z powietrza i spłukiwane z gleby. Byłoby to o tyle niebezpieczne, że wszystkie te zanieczyszczenia spłynęłyby w ostatecznym rachunku do zbiornika, z którego pijemy wodę. Najwyższy już czas, żeby się zastanowić, czy powierzchnia naszego kraju wytrzyma dalsze wielkie inwestycje, które do reszty zatrują nam powietrze, wodę i glebę. Trzeba przyjąć jakieś rozumne proporcje między inwestycjami i ich wielkością, a wytrzymałością ekologiczną 350 tysięcy kilometrów kwadratowych naszego terytorium.

— Megalomania minionego okresu: wszystko robiliśmy największe w kraju, w Europie i na świecie....

—Powracając do wody chciałbym jeszcze powiedzieć, że wszystkie zanieczyszczenia z powierzchni miasta i aglomeracji są spłukiwane do ścieków, a z nich do Neru i Bzury. W Nerze nie można się kąpać, jego woda w ogóle nie nadaje się do użytku. Bzura zaś, na przykład poniżej Zgierza, niesie około 80 procent wód ściekowych; tylko niecałe 20 procent stanowi woda naturalna. Sprawa budowy oczyszczalni ścieków? Obawiam się, że przekażemy ją naszym dzieciom lub wnukom. W naszym regionie brak, na przykład, retencji wód, nawet tej najmniejszej, gospodarczej, w stawach dla hodowli ryb.

— Niegdyś skażenia gleby były tematem tabu, dziś mówi się otwarcie o destrukcji gleby wskutek emisji pyłów i gazów.

— Gleba w mieście, na obszarach podmiejskich i przemysłowych, narażona na te emisje, podlega coraz silniejszej degradacji chemicznej, wyraźnemu zakwaszeniu. W glebie pozostają wszystkie substancje, które na nią spadają i z kolei przenikają do środowiska biologicznego — do warzyw, zbóż, owoców. Stąd łatwość zatruć drogą przewodu pokarmowego.

— Może się mylę, ale odnoszę wrażenie, że nasi specjaliści rolni nie wiedzą gdzie i jakie zanieczyszczenia spadają na pola uprawne. A przecież wydaje się, iż w zależności od tego należy stosować odpowiednie rodzaje nawozów.

— Nie myli się pan. Wiedza naszej służby rolnej, pod tym względem, jest minimalna. Znając geografię zanieczyszczeń gruntów uprawnych można by oczywiście, albo zapobiegać nadmiernemu zakwaszeniu gleby, czyli zobojętniać substancje zanieczyszczające glebę w danym rejonie rolniczym, albo po prostu dodawać jednych nawozów mniej, a innych więcej. Nie można na terytorium całej Polski stosować nawozy tego samego rodzaju. Znajomość tych zależności podniosłaby wydajność gleby.

— I tak oto, w Roku Pańskim 1981 stanęliśmy w obliczu problemów, których rozwiązanie wymaga kompromisów między działalnością gospodarczą i techniczną państwa, a możliwościami kraju i potrzebami jego społeczeństwa.

— ...oraz koordynacji działań, ponieważ podejmowane w tych kwestiach decyzje niosą z sobą doniosłe skutki zdrowotne i kulturotwórcze. Uważam, że powinniśmy opracować raport o stanie środowiska życia człowieka województwa miejskiego łódzkiego. Jest to praca możliwa do wykonania jeśli złoży się na nią wysiłek wszystkich, merytorycznie zainteresowanych w tym środowisk i organizacji społecznych. Oddział Towarzystwa Urbanistów Polskich w Łodzi, występując z tą inicjatywą, liczy na współudział w tych pracach nowo powstałego Oddziału Polskiego Klubu Ekologicznego. Powinien również powstać bank danych dotyczących stanu środowiska przyrodniczego Łodzi. Z punktu widzenia potrzeb zdrowia człowieka odczuwa się szczególnie brak informacji o fizycznych cechach atmosfery naszego miasta. W związku z tym uważam za niezbędne zrealizowanie koncepcji miejskiej sieci meteorologicznej, umożliwiającej ocenę poziomego i pionowego zróżnicowania cech fizycznych i chemicznych powietrza miejskiego.

— Panie doktorze, na Krajowej Naradzie Towarzystwa Urbanistów Polskich, która odbyła się w styczniu tego roku, zwrócono szczególną uwagę na dewastację środowiska kulturowego i przyrodniczego, zagrażającą podstawom bytu narodu.

— Była to bardzo potrzebna i interesująca narada. Mimo opłakanego stanu środowiska przyrodniczego w Polsce, co dopiero teraz wychodzi na jaw, prowadzona dotychczas działalność gospodarcza, na ogół rabunkowa, miała na uwadze wyłącznie doraźne cele gospodarcze i ekonomiczne. Nie brała pod uwagę skutków tej działalności w przyszłości, była wyprana z wyobraźni i wyjałowiona z troski o skutki ekologiczne. Teraz należy odwrócić te proporcje. Wymiar inwestycji powinien być ograniczony, jeśli tylko zachodzi obawa, że w przyszłości może on spowodować nieodwracalne szkody ekologiczne. Uważam, że działalność gospodarcza, przynajmniej w tej dziedzinie, powinna być poddana kontroli społecznej — Sejmowi, radom narodowym i merytorycznie uprawnionym komisjom społecznym. A ponadto należy przestrzegać zasad odpowiedzialności autorskiej projektantów i cywilnej decydentów i producentów za naruszanie Ustawy o Ochronie i Kształtowaniu Środowiska, która weszła w życie we wrześniu ubiegłego roku.

— Oby tak się stało. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Dr Ireneusz Dubaniewicz jest pracownikiem Zakładu Meteorologii, Klimatologii i Hydrologii Instytutu Geografii UŁ, kierownikiem Podyplomowego Studium Kształtowania i Ochrony Środowiska UŁ.

Andrzej Gieraga, „Kolumna" — rysunek ołówkiem

WOKÓŁ BOCHNA CHLEBA

AKCJA „ŻYWNOŚĆ"

Dalszy ciąg ze str. 1

bowiem sprawy związkowe przesłania akcja „Żywność". A rzecz polega na tym, że MKZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej znalazł sposób na to, żeby każdy obywatel milionowej aglomeracji mógł otrzymać co miesiąc poza systemem kartkowym 1 kg świeżej rąbanki. A jak dobrze pójdzie, to każdy mieszkaniec może dostać co miesiąc dodatkowo pół kilograma masła.

Chodzi o to, żeby w sztabie żywieniowym przy prezydencie zasiedli także przedstawiciele rolników regionu łódzkiego, żeby to nie był sztab sprawozdawców sklepowych. Rolnicy chcą bowiem sprzedawać nadwyżki mięsa (poza kontraktacją) bezpośrednio robotnikom. W ten sposób zostałaby rozbita mafia pośredników, uniknęlibyśmy czarnego rynku i horrendalnych cen. W pierwszym rzędzie porcjowaną rąbankę, po cenach jak w sklepach komercyjnych, sprzedawałoby się w kioskach i bufetach zakładowych. Potrzebne są jednak ubojnie. Pisałem o tych ubojniach z wielkim przejęciem, ale na próżno, bo Sanepid postawił ostre weto. Ostatnio jednak Sanepid „puścił" trzy ubojnie. MKZ „Solidarność" jest gotów uruchomić nie wykorzystane przetwórnie, gdzie są odpowiednie warunki sanitarne, i to z własnych środków finansowych. Jest więc chyba o co walczyć, sprawy nie wolno odpuścić.

Ośrodek Badań Działalności Gospodarczej NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej z początku pracował jakby z doskoku, dziś jednak akcja „Żywność" stała się dlań sprawą priorytetową. W ośrodku powstał m.in. plan uruchomienia rezerw paszowych, przyjęty z aprobatą przez rząd. Polega on na zmianie systemu skupu zwierząt rzeźnych — nie według wagi żywej, lecz tzw. wagi ciepłej bitej, czyli wagi mięsa po uboju. Chodzi o to, że rolnicy przed dostawą nadmiernie przekarmiają zwierzęta, aby zwiększyć ich wagę. W ten sposób w skali rocznej marnuje się w kraju 21 tys. ton wysokobiałkowych pasz przemysłowych, T1 i T2, które można wykorzystać do tuczu trzody chlewnej. Trzeba przyznać, że rolnicy narzekali na wagę ciepłą bitą, gdyż ważenie i obliczanie odbywało się „zaocznie". Ale nikt rolnika nie okradnie. Mogą się zdarzyć jedynie pomyłki, np. wskutek wytarcia tatuażu lub zgubienia kolczyka z świńskiego ucha.

Jesienią zdołano obsiać zbożami zaledwie jedną trzecią planowanego areału. Wiosną ceny skupu zbóż są o połowę niższe od cen na wolnym rynku. Jednocześnie ceny na produkty zbożowe są wyższe o połowę od cen skupu zbóż. Ośrodek po konsultacjach z rolnikami doszedł do wniosku, że aby zapewnić odpowiednią bazę paszową dla gospodarki hodowlanej, należy rozszerzyć areał upraw zbóż. Będzie to możliwe, jeżeli jeszcze przed wiosennymi siewami zbóż jarych ustali się i poda do wiadomości rolników nowe korzystne ceny skupu. Gdyby to się udało przeprowadzić, zmniejszylibyśmy import zbóż, gdyż rolnicy powiększyliby areał zasiewów o około 2 mln ha, co dałoby prawie 6 mln ton zbóż. A więcej zboża to dostatek chleba, tłuszczów zwierzęcych mięsa, mleka i masła.

W połowie marca teleks z taką propozycją przesłano wicepremierowi Malinowskiemu. Nie wiem kiedy ukaże się to, co piszę w dniu 28 marca. Zdaję sobie natomiast sprawę, że problem przedstawiony przez łódzką „Solidarność" winien szybko znaleźć się na posiedzeniu Rady Gospodarki Żywnościowej. Czas nagli, ludzie czekają na żywność.

Ale podwyżka cen zbóż to zwiększenie tzw. nawisu inflacyjnego. Wydaje się jednak, że z dwojga złego należy wybrać mniejsze. Wiadomo, że zwiększą się dotacje państwa do żywności. Ale przecież te dotacje to pieniądze społeczne. Społeczeństwo nie chce, żeby państwo dopłacało do żywności. Ale niech państwo nie zdziera. Przykładem tego nie musi być alkohol, wystarczy koszt produkcji małego fiata (40 tys. zł) i cena rynkowa. Jeśli ludzie zatrzymają dotacyjne pieniądze w kieszeni, to śmiało można podwyższyć ceny przetworów zbożowych.

„Solidarność" proponuje, aby rolnikom kontraktującym zboże natychmiast przywrócić, a nawet zwiększyć bonifikatę na nawozy mineralne oraz zwiększyć podaż kwalifikowanego ziarna siewnego. Zwiększone nawożenie dałoby dodatkowo kilka milionów ton zbóż. Są to chyba jednak „zbożne" życzenia, bo nawozów będzie za mało i bonifikaty niewiele załatwią. Ponadto państwo nie zaspokoi potrzeb w zakresie kwalifikowanego ziarna siewnego. Państwo jednak, a ściślej rząd, winno uczynić wszystko co możliwe, aby nie zajrzało nam w oczy widmo głodu.

Przydziały cukru ograniczone są do minimum. Jadwiga Szcześkiewicz z MKZ „Solidarność" stwierdza, że dawki cukru muszą być zwiększone, a masło — reglamentowane.

— *Chodzi o to* — mówi — *żeby odciążyć łódzkie kobiety od ogromnych kłopotów w wyżywieniu rodziny, zyskać ich zaufanie, ułatwić im życie. Bo może dojść do tego, że nie będziemy mieć żadnej politycznej akcji protestacyjnej, ale spotkamy się za to z demonstracją głodową.*

— Cóż więc proponujecie?

— *Uważamy, że porcje cukru należy zwiększyć do 1,5 kg dla dorosłych i do 2 kg dla dzieci.*

— Rząd twierdzi, że nie stać nas na import cukru. Poza tym trudno dziś kupić cukier za granicą.

— *A stać nas było na eksport?*

— Kiedy?

— *Proszę pana, premier Babiuch zniósł w zasadzie reglamentację cukru. Chociaż zapowiadała się sytuacja dramatyczna, nadal eksportowaliśmy cukier. Obecnie związki zawodowe na Zachodzie chcą nam zwrócić nasz cukier pod hasłem „Cukier dla polskich dzieci". To nie wszystko. W gospodarstwach Skotniki i Pieskowice, należących do PGR Leśmierz, jesienią nie zebrano 50 proc. buraków cukrowych i ziemniaków. Załoga chciała to zebrać rękami poza godzinami pracy, ale dyrektor się nie zgodził i kazał wszystko przeorać. Czy te fakty nie świadczą, że mamy do czynienia z sabotażem gospodarczym?*

— Może dyrektor był abstynentem? Może myślał, że cukier z buraków i ziemniaki pójdą na alkohol?

— *Z tym nie ma żartów. A co się tyczy alkoholu, to jestem przekonana, że podwyżka nie zlikwiduje alkoholizmu. Wódka powinna być reglamentowana, z tym, że powinna istnieć możliwość korzystania z zamiennika. Jeśli ktoś nie chce korzystać z kartek na wódkę, mógłby je wymienić na inny towar reglamentowany, np. czekoladę lub masło.*

W MKZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej trwa akcja „Żywność". Wychwytuje się i piętnuje wszystkie przypadki, gdzie widoczne są nieuczciwe machinacje i czerpanie zeń zysków. Dla Ośrodka Badań Działalności Gospodarczej nie ma jednak ważniejszej sprawy, jak żywność. Chłopi nie otrzymują na czas węgla, nawozów, innych środków produkcji, przeto MKZ stara się przynajmniej zapewnić fachowców z miasta do remontu sprzętu rolniczego. MKZ zwraca uwagę, że może zamiast podwyższać ceny płodów rolnych i artykułów żywnościowych, warto obniżyć ceny usług i sprzętu dla rolników, a efekty byłyby równie pozytywne.

Ośrodek Badań Działalności Gospodarczej łódzkiej „Solidarności" jest jedyną tego typu placówką w kraju. Krajowa Komisja Porozumiewawcza jednak nie współpracuje z nim na bieżąco. Przedstawiciele ośrodka zasiadają w Radzie Gospodarki Żywnościowej przy Radzie Ministrów. Bywa jednak tak, że pomysły i plany powstałe w ośrodku ministrowie ogłaszają jako własne. A może „Solidarność" nie powinna zajmować się sprawami żywności? Od tego jest przecież rząd, eksperci, naukowcy, ekonomiści.

Jedni szukają rezerw, inni marnują to, co jest w zasięgu ręki. Nadal wozimy po Polsce zwierzęta rzeźne i „gubimy" po drodze mięso. Transport polskich koni rzeźnych do Francji prowadzony w złych warunkach (zwierzęta wychudzone, poranione) przynosi co roku straty w wysokości 6 mln dolarów. W województwie piotrkowskim zabija się zwierzęta hodowlane. W statystyce potwierdza się ilość sztuk hodowlanych. Ale gdzie jest mięso?

W Giecznie zbudowano brojlernię, która z braku pasz stoi pusta. Tymczasem w pobliskim Kwilnie buduje się drugą brojlernię. Po co? Czy nie lepiej, zamiast wznosić nowy obiekt, uruchomić produkcję w Giecznie?

W Tymiance, gm. Stryków, kosztem 10 mln zł zbudowano obory, ale bydła nie wprowadzono, i teraz trwa tam przebudowa. Kto i jakim prawem szasta społecznymi milionami, nie produkując żywności?

W gospodarstwach państwowych Piaskownica i Marianpol (gm. Parzęczew) nie wydobywa się z kopców ziemniaków na paszę, podając w sprawozdaniu, że zwierzęta są karmione. Efekty są widoczne: jedna krowa daje tam 5 litrów mleka dziennie, mnożą się upadki zwierząt, bardzo dużo zabija się z konieczności.

Chłopi mieli swoje ziarno do siewu, ale nakazywano im siać tylko kwalifikowane. To ziarno sprowadza się w ostatniej chwili. Bez sprawdzenia siły kiełkowania, bez znajomości wegetacji nie wiadomo, kiedy je siać, gdzie i ile.

W sklepach ogrodniczych brakuje nasion, można więc przewidzieć, że produkcja warzyw na działkach ulegnie zmniejszeniu. Niskie przydziały cukru spowodują, że w domach nie wyprodukuje się milionów słoików przetworów owocowych. Przemysł nie przerobi tych tysięcy ton owoców i albo się one zmarnują, albo zjedzą je świnie.

Zdaję sobie sprawę, że przedstawione fakty są niemiłe dla władz, ale kiedy akcja „Żywność" stała się sprawą priorytetową dla kraju, niczego nie wolno pomijać. Trzeba szukać rezerw i szybko naprawiać błędy, gdyż w przeciwnym razie naprawdę może nam zagrozić widmo głodu.

RYSZARD BINKOWSKI

P.S. Sytuacja zmienia się niemal z dnia na dzień. Wyjęty fragment tekstu, o którym wspomniałem dotyczył opisu sytuacji, w jakiej dnia 22 lutego odbył się w Łodzi zjazd informacyjny NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarności". Stwierdziłem tam, że wygląd uczestników wielotysięcznej manifestacji nie świadczył, iżby wyszli oni z kawiarni. Uznałem, że uregulowanie spraw związków zawodowych rolników nie jest sprawą polityczną, lecz załatwieniem problemu żywności. I miałem rację, bo 30 marca, po rozmowach z „Solidarnością", rząd stwierdził, że do czasu uregulowania sprawa legalności działań komitetów założycielskich NSZZRI nie będzie kwestionowana. Komisja rządowa prowadzi rozmowy z rolnikami w Bydgoszczy i, jak oświadczył poseł Jan Szczepański, strony niebawem się dogadają.

Od 1 kwietnia uległy znacznej podwyżce ceny skupu żywca, a od 1 lipca wydatnie wzrosną ceny zbóż. Rząd poszedł na inne rozwiązanie, niż proponowane przez łódzką „Solidarność", ale efekty powinny być chyba bardzo korzystne. Ponadto nasz miliarder z Ameryki, pan Edward Piszek, zapowiada bezinteresowną dostawę do Polski artykułów żywnościowych za 500 mln dolarów. Inni też starają się nam pomóc. Na firmamencie wiosny zapala się więc promyk nadziei. Ale nie łudźmy się tanim optymizmem. Przednówek będzie naprawdę ciężki.

R. B.

PROPOZYCJE I LISTY

LIST OTWARTY

do radnych WRN i MRN w Skierniewicach oraz władz administracyjnych miasta i województwa

NSZZ „Solidarność" Region Mazowsze Oddział w Skierniewicach, liczący 12 tysięcy członków, realizując zawarte w statucie związku cele w trosce o pilne i należyte zabezpieczenie najważniejszych potrzeb społecznych mieszkańców Skierniewic i województwa przedstawia radnym WRN i MRN oraz władzom administracyjnym stanowisko członków związku w sprawie społecznie użytecznego wykorzystania wznoszonych i istniejących w Skierniewicach gmachów.

Uważamy, że łącznie z naszymi rodzinami stanowimy przeważającą część społeczeństwa Skierniewic, stąd głos nasz i opinia nie mogą być pominięte i w zasadniczym stopniu powinny wpłynąć na podejmowane przez radnych decyzje w tej sprawie. (...)

Od 4 września 1980 r. do chwili obecnej nie została podjęta decyzja w sprawie jednoznacznie określonego, społecznego wykorzystania budynku wznoszonego dla potrzeb KW PZPR (...) Brak jasno określonej decyzji już spowodował niewymierne straty społeczne. Do tej pory przez okres 7 miesięcy można było przygotować dokumentację adaptacyjną budowy wojewódzkiej przychodni wielospecjalistycznej oraz zabezpieczyć moce przerobowe zarówno dla przychodni i szkoły podstawowej na osiedlu Widok, według od dawna posiadanej dokumentacji.

Ostatnia uchwała Plenum KW PZPR w tej sprawie, poddająca pod dyskusję dodatkowe obiekty, prowadzi nieuchronnie do zejścia wykonawcy z budowy obiektu przy ul. Mszczonowskiej, co w konsekwencji uniemożliwi dokończenie budowy nawet w nieokreślonym czasie. Niezależnie od bierności władz, społeczeństwo nie może do tego dopuścić.

W związku z powyższym wnosimy o zwołanie w trybie pilnym nadzwyczajnej sesji Miejskiej Rady Narodowej w celu pozytywnego ustosunkowania się radnych do decyzji członków NSZZ „Solidarność" w Skierniewicach, wniesionej dnia 24 marca 1981 roku dotyczącej wykorzystania budynku KW PZPR przy ul. Mszczonowskiej na potrzeby służby zdrowia. Pilność sesji wynika z potrzeby niezwłocznego kontynuowania zatrzymanych prac projektowo-budowlanych. Trzeba wyraźnie podkreślić, że dalsze niewytłumaczalne odwlekanie pożądanej decyzji nieuchronnie prowadzi do coraz większego, zrozumiałego zniecierpliwienia i irytacji wśród załóg zakładów pracy. Załogi bezwzględnie żądają, by w procesie eliminowania popełnionych niesprawiedliwości społecznych, działania władz dostosowane były do służebnej wobec społeczeństwa roli.

Poniżej przedstawiamy nasze szczegółowe stanowisko w rozważanych obecnie wariantach rozwiązań wynikających z uchwały Plenum KW PZPR.

1. Odnośnie Szkoły Podstawowej nr 1.

Powodowani poważnym niepokojem o bezpieczeństwo dzieci odbywających naukę w Szkole Podstawowej nr 1, będącej w katastrofalnym stanie technicznym, domagamy się podjęcia niezwłocznej decyzji, zobowiązującej prezydenta miasta i władze województwa do natychmiastowego przeniesienia dzieci do innego budynku spełniającego wymogi bezpieczeństwa i higieny nauczania.

Rozważany przez władze wariant przeznaczenia dla potrzeb szkolnictwa budynku wznoszonego dla KW PZPR lub sądów nie stanowi rozwiązania problemu od zaraz. Najwcześniejsze przekazanie do użytku któregoś z tych obiektów, może nastąpić w obecnej sytuacji wykonawczej w okresie około 2 lat, przy czym ciągle byłby to obiekt tylko przystosowany dla szkolnictwa.

Natomiast niezwłoczne uruchomienie budowy szkoły na osiedlu Widok według od dawna gotowej dokumentacji, w tym samym czasie gwarantuje uzyskanie obiektu szkolnego z prawdziwego zdarzenia, z niezbędnymi urządzeniami towarzyszącymi i prawidłowo zlokalizowanym. Podnoszone w opinii mieszkańców niebezpieczeństwo związane z przechodzeniem dzieci przez wiadukt może zostać przy pomocy niewielkich środków wyeliminowane w sposób praktykowany w innych miastach w postaci równoległego ciągu pieszego (np. kładka stalowa). Wprawdzie nie do nas należy poszukiwanie rozwiązań problemu Szkoły Podstawowej nr 1 od 1 września 1981 roku, tym niemniej, przy dobrej operatywności władz możliwości takie na terenie miasta istnieją, np.:

— Szkołę podstawową zlokalizować w budynku liceum ogólnokształcącego po wyprowadzeniu z niego Studium Wychowania Przedszkolnego,

— zweryfikować istniejącą sieć szkół ponadpodstawowych i pomaturalnych na terenie miasta i uwzględnić w tym tymczasową lokalizację Szkoły Podstawowej nr 1, a jednocześnie rozwiązać problem Szkoły Podstawowej nr 4.

Fakt, że na przestrzeni wielu lat nie wybudowano w Skierniewicach żadnej szkoły, podczas gdy zdołano rozbudować Urząd Wojewódzki i rozpocząć budowę gmachu KW PZPR, bezwzględnie wymaga, by władze województwa, zobowiązane odpowiednim stanowiskiem radnych MRN i WRN, potrafiły ten problem szybko i terminowo rozwiązać.

2. W sprawie społecznego wykorzystania gmachu wznoszonego dla KW PZPR.

Naszym zdaniem problem wykorzystania tego budynku z przeznaczeniem dla potrzeb służby zdrowia jest już rozstrzygnięty. Dotychczasowy lekceważący stosunek władz administracyjno-politycznych miasta i województwa oraz nieskuteczne wysiłki radnych spowodowały, że w rażącym stopniu zaniedbano potrzeby zdrowotne mieszkańców.

W trosce o zapewnienie należytego poziomu opieki zdrowotnej i dla zrealizowania szeregu istniejących programów ochrony zdrowia, znanych z pewnością tak radnym, jak i władzom województwa, domagamy się, by radni reprezentujący społeczeństwo miasta podjęli decyzję o przeznaczeniu tego budynku wyłącznie dla potrzeb wojewódzkiej przychodni wielospecjalistycznej. Członkowie NSZZ „Solidarność" w Skierniewicach podjęli już w swoim zakresie taką jednoznaczną decyzję po uprzednim szczegółowym rozważeniu potrzeb szkolnictwa i służby zdrowia. W tajnym głosowaniu na zebraniu delegatów 39 zakładów pracy, członkowie związku jednogłośnie opowiedzieli się za służbą zdrowia.

Takie przeznaczenie budynku pozwoli w ciągu najbliższych 2—3 lat zapewnić mieszkańcom Skierniewic i województwa pełny zakres opieki specjalistycznej oraz poprawi warunki leczenia w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym. Szpital ten, obliczony na 200 łóżek, mieści ich 500. W tych warunkach przebywają pacjenci i pracuje medyczny personel — to warto zobaczyć. Uważamy, że dowodzenie słuszności przedstawionego rozwiązania wobec dotychczasowych zaniedbań jest całkowicie zbyteczne. (...)

3. W sprawie Centralnego Ośrodka Dokształcania Kadr Ogrodniczych.

Centrum nauk ogrodniczych takich jak sadownictwo, warzywnictwo i kwiaciarstwo, od wielu lat znajduje się w Skierniewicach. Tu znalazły swą siedzibę resortowe instytuty badawcze. Nie są one własnością Skierniewic, lecz podnoszą rangę tego miasta. Także tutaj dla wykorzystania olbrzymiego potencjału naukowego zlokalizowano ośrodek CODKO, w którym odbywa się szkolenie kadr ogrodniczych z całej Polski; w tym celu zapewniono także odpowiednie zaplecze hotelowe dla kursantów. Od intensywności i wszechstronności tych szkoleń zależą efekty produkcji kilkuset tysięcy ludzi zajmujących się ogrodnictwem. (...)

Ośrodek CODKO nadal może istnieć tylko w Skierniewicach, taka też jest opinia Ministerstwa Rolnictwa, wykluczone jest więc jego przeniesienie do odległego Teresina. Prezydium MRN należy się wyjaśnienie, że szkolenie instruktorskich służb ogrodniczych nie sprowadza się wyłącznie do wykładów, a wymaga możliwych jedynie w Skierniewicach szeroko pojętych demonstracji, pokazów i ćwiczeń prowadzonych przez wybitnych specjalistów, którzy mają dużo ważniejsze zadania, niż marnotrawienie czasu na zbędne dojazdy do Teresina. Szkolenie instruktorów przekazujących uzyskaną wiedzę i doświadczenie producentom rolnym, nie może być prowadzone w oderwaniu od bazy naukowej, jaką stanowią poletka doświadczalne, szklarnie i chłodnie znajdujące się przy obydwu instytutach w Skierniewicach. (...)

4. W sprawie usiłowań pozbawienia Sądu Rejonowego w Skierniewicach wznoszonego dla jego potrzeb gmachu.

Ze stanowiska Plenum KW PZPR wyrażonego w podjętej uchwale wynikałoby, że sądy nie spełniają funkcji społecznych. Dotąd nie podnosiliśmy i nie podnosimy kwestii wyżej wymienionego budynku, gdyż uważamy, że właściwe funkcjonowanie sądu, w każdym tego słowa znaczeniu, służy właśnie społeczeństwu (...)

Sąd Rejonowy w Skierniewicach, w trzech rozrzuconych pomieszczeniach mieści Wydział Cywilny i Karny, Wydział dla Nieletnich i Państwowe Biuro Notarialne. Księgi Wieczyste oraz Biuro Komornika Sądowego. Zajmowane lokale są niefunkcjonalne, zbyt małe i w złym stanie technicznym. W znacznym stopniu zagrzybione, pozbawione węzłów sanitarnych i właściwego ogrzewania. Stanu tego nie zmieni nawet remont kapitalny. Brak elementarnych urządzeń sanitarnych dla pracowników i interesantów wymaga żenującego biegania po sąsiednich posesjach, z całą pewnością nie podnosi powagi sądu.

W posiadanych pomieszczeniach brak odpowiednich sal rozpraw, poczekalni dla interesantów, archiwum sądowego, notarialnego i komorniczego. Brak izby zatrzymań dla aresztantów, pomieszczeń dla świadków, ławników, adwokatów, prokuratorów i pokoi narad. Brak pomieszczeń dla Rodzinnego Ośrodka Diagnostyczno-Konsultacyjnego. Z tych samych względów nie można dotąd zorganizować Sądu Rodzinnego. Nie ma pomieszczeń dla odbywania posiedzeń — w sprawach rozwodowych i nieletnich, brak pokoi dla kuratorów zawodowych i społecznych. Amfiladowe rozmieszczenie sal znacznie pogłębia istniejące trudności powodując, że masy interesantów przemieszczają się bez potrzeby po całym budynku dezorganizując pracę. (...)

Dodać należy, iż do nowego budynku zostały wykonane specjalne meble i sprzęty, w chwili obecnej zmagazynowane i niszczejące w różnych miejscowościach województwa. (...)

* * *

Podsumowując nasz apel do radnych MRN i WRN w Skierniewicach przypominamy, iż konstytucyjnym obowiązkiem radnych jest sprawowanie władzy w imieniu wyborców, reprezentowanie ich żywotnych interesów wobec władz administracyjnych, niezależnie od swoich własnych zapatrywań, opinii i poglądów.

Podkreślamy jednocześnie, że niedopuszczalne byłoby podjęcie decyzji sprzecznych z odczuciem społecznym, w efekcie oznaczałoby to utratę posiadanego mandatu zaufania. Z największą odpowiedzialnością stwierdzamy, że nie wolno dopuścić do powstania niepotrzebnych napięć społecznych.

NSZZ „Solidarność"
Region Mazowsze
Oddział w Skierniewicach
Skierniewice 4 kwietnia 1981 r.
Skróty pochodzą od redakcji.

Tomasz Hubert Orłowski

NIE TYLKO O PLOMBACH

Mój artykuł dotyczący „plomb" budowanych obecnie w ciągu XIX-wiecznej zabudowy ulicy Piotrkowskiej spotkał się z przyjęciem, które w moim imieniu upoważna do stwierdzenia, że problem wart jest rozwinięcia. Bezpośrednim powodem do napisania obecnego artykułu stał się list pana **Bolesława Kardaszewskiego**, znanego i cenionego architekta łódzkiego. **B. Kardaszewski**, jako wymieniony przeze mnie realizator dwóch plomb przy Piotrkowskiej (w tym miejscu chciałbym złożyć samokrytykę, jako nierzetelny informator, który pominął współprojektanta plomb, pana **Mirosława Wiśniewskiego**, za co zainteresowanego i czytelników serdecznie przepraszam) w skierowanym do redakcji liście przeciwstawia moim tezom swoje długoletnie doświadczenie i praktykę. Jestem mu bardzo wdzięczny za zainicjowanie dyskusji, która wprawdzie powinna być realizowana na innej płaszczyźnie, a myślę tu o roboczych seminariach historyków sztuki, konserwatorów i architektów, ale jej początkiem może się też stać nasza polemika.

Uważam zatem moją odpowiedź docentowi **Kardaszewskiemu** za uściślenie i skonkretyzowanie moich, jako historyka sztuki i konserwatora teoretycznych koncepcji, a nie, jak to określa **B. Kardaszewski „krzyżowanie szpady"** z nim. Mimo to muszę na wstępie zaznaczyć, że pierwszy akapit listu mojego polemisty zdziwił mnie. Pisze on bowem, że uważnie przeczytał mój artykuł. Myślę, że tak nie było, bo nie mam powodu sądzić, że istnieją jakiekolwiek inne przyczyny pewnego zniekształcenia moich wypowiedzi. Otóż traktuję list pana **Kardaszewskiego** za wyraz niewłaściwego zrozumienia mnie przez niego. Szczególnie ważne w nim jest to, że **B. Kardaszewski** rozumuje jako architekt, projektant i realizator, ja natomiast podchodzę do problemu zabudowy układu zabytkowego, jako konserwator.

Nie będę chyba zbyt arbitralny, gdy powiem, że te dwa sposoby myślenia w tym odcinku są nie do pogodzenia. Najlapidarniej ująłbym to w następujący sposób — architekt jest artystą, twórcą nowych wartości użytkowych i estetycznych, konserwator natomiast stara się zawsze, jak to określa nawet łaciński źródłosłów, zachować wartości przeszłe. Zawód architekta jest zatem ofensywny, skierowany w przyszłość, konserwator zaś zawsze znajduje się na pozycjach obronnych. Właściwie nawet w drastycznym przypadku można by powiedzieć, że obrona starego jest hamowaniem rozwoju cywilizacji — niejeden z prymitywnych decydentów sądził tak i chyba nadal sądzi. Stąd konserwator musi dla dobra zabytku godzić się na ustępstwa, kompromisy czasem nawet zawodowo dwuznaczne.

Tu jako pewną dygresję można by wprowadzić dalsze rozróżnienie zawodów konserwatora i historyka sztuki. Jak napisał wybitny polski uczony, profesor **Jan Białostocki**, konserwatorstwo jest działaniem, historia sztuki poznawaniem. Historyk sztuki, jako teoretyk, nie zgadza się zazwyczaj z takimi kompromisowymi rozwiązaniami, jakie stosują konserwatorzy. Sumując można by powiedzieć, że tendencje reprezentowane przez konserwatorów i historyków sztuki, a architektów są sobie przeciwstawne. Naturalnie jest to zwulgaryzowanie odniesione do sytuacji idealnej. Rzeczywistość społeczna w jakiej żyjemy, jasno dowodzi, jakie znaczenie dla rozwoju cywilizacyjnego ma żywotność naszej przeszłości. Jest to truizm, z którego oczywiście trudno nie zdawać sobie sprawy, a jednak truizm, który trzeba często powtarzać. Sentencji umieszczonej w Puławach na frontonie Świątyni Sybilli **„Przeszłość—Przyszłości"** i na stropie Domku Gotyckiego **„Wszystkiemu co los zmienia i co czas pożera, człowiek tkliwym wspomnieniem znikomość odbiera"** można przeciwstawić stan zachowania tego romantycznego założenia pałacowo-parkowego.

Zatem problem mimo swej oczywistości istnieje. Powstaje dla konserwatorów pytanie fundamentalne — jak najskuteczniej bronić zabytków tej przeszłości, słabej i bezbronnej, przed dynamicznym rozwojem materialnym cywilizacji, której ekpansywność trudna jest do okiełznania. Problem w przybliżeniu może być porównany z losem biologicznego środowiska człowieka, tworzącego wspólnie krajobraz kulturowy. Naturalne środowisko przyrodnicze musi również ulegać przewadze rozwoju przemysłowego, ograniczając się do sztucznych form izolacji — parków narodowych, rezerwatów. Tak dzieje się i w ochronie zabytków; były nawet projekty uczynienia z najwartościowszych centrów zabytkowych parków narodowych, gigantycznych lapidariów.

Oczywiście, pozorne odnośniki nie powinny zmylić. Zabytki nie mogą stać się martwymi bryłami kamienia, czy cegły, nie możemy doprowadzić do powstania kamiennych pustyń, podobnych miastom wymarłych cywilizacji inkaskich. Nie możemy sobie na to pozwolić także z przyziemnych, ekonomicznych powodów. Jaka więc powinna być forma ochrony? Zajmę się tylko kwestią ochrony zabytkowych układów urbanistycznych, czyli po prostu starych miast, gdyż tego dotyczy sytuacja łódzka i dlatego, że jest to chyba obecnie podstawowa sprawa, którą muszą rozwiązać konserwatorzy.

Gwałtowne starzenie się substancji mieszkaniowej przy coraz śmielszych planach modernizacyjnych miast, zmuszają do stworzenia programu ich ochrony. Oczywiście nie poradzi sobie z tym żadna służba konserwatorska, choćby uzbrojona w najnowocześniejszą technologię i prawodawstwo, bez zrozumienia i pomocy ogółu zajmujących się planowaniem i rozbudową miast. Stąd dość krytycznie odnoszę się do stałych prawie wiadomości prasowych i telewizyjnych o udoskonalaniu działania i rozbudowie przedsiębiorstwa konserwatorskiego PKZ, przy całym zresztą uznaniu dla tego ostatniego. Należy traktować je jako pogotowie ratunkowe, ostatnią instancję w nagłych przypadkach, a nie budować na nim całego programu ochrony zabytków.

W strukturalnym układzie ochrony zabytków podstawowy ciężar powinien spoczywać na ogólnospołecznej akcji, w której na każdym stanowisku należałoby, w sytuacjach wymagających tego, brać pod uwagę przy podejmowaniu decyzji ewentualne zniszczenia zabytków. Klasycznym, albo niestety klinicznym przykładem takiej akcji powinien być Kraków, w którym żadne programy rewaloryzacyjne prowadzone przez PKZ i inne służby ochrony zabytków nie mogą przynieść rezultatu. Sytuację zanieczyszczenia powietrza w wyjątkowo niekorzystnych klimatyczno-hydrologicznych Krakowa można przedstawić w sposób następujący, który swą ostatecznością może wstrząsnąć. Obecność szkodliwych związków chemicznych w zawilgoconej atmosferze prowadzi do przenikania ich do kamienia i cegły powodując powolny rozpad, dezintegrację strukturalną. Materiały budowlane tracą po prostu swoje lepiszcze, kamień i cegła mogą zamienić się w proszek. I co tu pomoże odnowienie fasady przez PKZ? Jedynie usunięcie źródeł zanieczyszczeń, a później niebywale długotrwała i kosztowna akcja osuszania murów, może dać jakieś pozytywne rezultaty. Piszę to świadom grozy swych słów, by wykazać, jak niewielki odcinek ochrony zabytków mogą realizować służby konserwatorskie.

Stąd moje sugestie w kierunku architektów, których uważam za jeden z najważniejszych członów strukturalnych ochrony zabytków. Jak to rozumieć? Określiłem już całość kreacyjnych zadań architekta, jakich wymaga od niego społeczeństwo. Jako twórca musi on być autorem nowego piękna, nowej jakości, choć jako artysta może tworzyć dzieła podlegające krytyce. Trudno moim zdaniem nazwać zatem osobistą ocenę jakiejś kreacji piękna — arbitralnością a dyskusję z nim — zarozumialstwem A zresztą nie o ocenę tego typu w konkretnym przypadku chodzi. Pisząc o łódzkich plombach chciałem zaznaczyć swój stosunek do ich projektowania architektonicznego, którego jako konserwator nie mogę uznać za właściwe. Chcę bowiem zaproponować inne podejście do zagadnienia projektowania w otoczeniu budowli zabytkowych.

Moja teza jest następująca: tworzymy strefy ochrony konserwatorskiej, wpisujemy do rejestru zabytków całe zespoły miejskie, np. Kraków, Kazimierz Dolny, Zamość, by usankcjonować ochronę historycznego układu ulic, panoramy miasta, jego kształtu architektonicznego. Pojawia się więc określenie zespołu, który nie powinien tracić swojego charakteru nie dlatego, że pojawił się, cytując **B. Kardaszewskiego „mędrzec, który uzurpując sobie jedynie słuszne sądy wskazałby na prawo i powiedziałby: to jest dobre — i powstałyby budynki wyłącznie neorenesansowe, neogotyckie bowiem zostałyby wyklęte"**, a dlatego, że celem naszym jest nieingerowanie w układ zmieniając jego dotychczasowe punkty charakterystyczne, funkcje, hierarchie, proporcje, standard. Rozumiem, że architekt tej miary, co docent **Kardaszewski**, twórca i projektant, nie może pogodzić się z taką koncepcją. Jego dążenie do nowości w treści i formie dzieł rzeczywiście bliskie jest poglądom amerykańskiego teoretyka i praktyka **Roberta Venturiego** autora książki — manifestu architektury pop sprzed piętnastu lat **„Complexity and Contradiction in Architecture"**. **Venturi** tworzy w otoczeniu budowli zabytkowych nowe dzieła, które w założeniu mają być przeciwstawione staremu. W takim ujęciu realizuje się jakby dialektyka sztuki, która bazując i korzystając z osiągnięć dawnych często zaprzecza im. W zestawieniu takim pojawia się nowa wartość polegająca na nerwowym często kontraście będącym celową ekspresją. Ze swej strony uważam, że działania konserwatorskie nie powinny dopuszczać do takich nowych układów w zabytkowych ciągach. Można by powiedzieć, że architektura **Venturiego** jest wykorzystywaniem w realizacjach wszystkiego co otrzymał w spadku od przeszłości. Gdy stawia on w otoczeniu zabytku swoje nowe dzieło, staje się autorem nie tylko tego jednego budynku, staje się autorem całości, jaką tworzy układ starego z nowym. Na pewno nie jest to działalność konserwatorska, nie ma też ona jakichkolwiek cech protekcji zabytku. Czy zatem stosować konserwatorski aksjomat nieingerencji, czy venturiański model pełnego wykorzystania i objęcia na własność twórczą wszystkiego dotychczasowego?

O ile zasada Venturiego jest sztuką, a zasada nieingerencji jest nieefektywnym wołaniem teoretyków, uważam, że nasza odpowiedzialność za patriomonium zmusza do przyjęcia tej nietwórczej ochrony. Zbyt łatwo Venturi uznaje nasze czasy za szczytowe osiągnięcie cywilizacji, za jej ostateczny wykwit, bo jeśli by tak nie było, nie utraciłby świadomości, że posiadamy obowiązek ochronienia i przekazania przyszłym pokoleniom lepszym (?) i mądrzejszym (?) jakiejś części spadku po naszych przodkach. Inaczej cywilizacja uzna nas za najbardziej egoistyczne pokolenie, zakochane w sobie i uzurpujące sobie prawo do wszystkiego, a przede wszystkim narzucania swoich gustów innym, przy stałym podkreślaniu swej tolerancji i rozumu.

Te przyczyny powodują, że głosuję za ochroną. Te przyczyny powodują, że wolałbym widzieć wznoszone plomby jako architekturę bardzo skromną, neutralną. Nie powinno się dopuszczać do sytuacji, gdy w diademie pojawi się nowy brylant, który zaćmi dotychczasowe, słońce, które będzie silniejsze. Projektujący architekt nie powinien zbytnio w takim typie działalności ujawniać swych zdolności kreacyjnych, pozostawiając je innym typom twórczości — tyle się u nas buduje nowych miast, dzielnic, ulic. Albo umówmy się, że przyjmujemy tezę **Johna Ruskina**, tzw. darwinizmu w konserwatorstwie, o samodzielnym „życiu" i „umieraniu" zabytków, ich naturalnej selekcji, o przetrwaniu najodporniejszego (ale czy najwłaściwszego?).

P.S. Drobne nieporozumienia, które trafiły się w naszej dyskusji. Po pierwsze, choć dzisiejszym artykułem określam się w jakiś sposób, w poprzednim nie krytykowałem projektów plomb docenta **Kardaszewskiego**, sugerowałem jedynie, że ich lokalizacja jest niewłaściwa, co pozostaje w związku z tezami powyższego tekstu. Po drugie nie uczyniłem we własnym mniemaniu odpowiedzialnym **B. Kardaszewskiego** za całokształt polityki budowlanej starego centrum Łodzi, a w związku z tym nie proponowałem Mu ani budowy podziemnych garaży, ani kopiowania historycznego detalu w duchu okresu błędów i wypaczeń. Nb. **Douglas Davis** pisze ostatnio interesująco o korzystaniu przez **Venturiego** z elementów dawnych stylów. Ten typ inspiracji w architekturze określa on aluzją do przeszłości. Podpisuję się pod tym.

THO

ANTONI SZRAM

jak ma wyglądać Łódź?

„Gdy porównamy Łódź z miastami zachodniej Europy, doprawdy złość i żal człowieka gnębi, że wobec takiej produkcji przemysłowej, tak wielkiego ruchu pieniędzy, powiedzmy otwarcie, tak wielkich fortun w Łodzi, uderza tak niesłychanie nisko stojący poziom artystycznego smaku. Wszędzie dostrzegamy, iż wiedeńska tandeta rozpościera się bezczelnie, wszędzie spotykasz tą samą monotonię banalnych ozdób i rozet... w pałacach milionerów, którzy co prawda pieniędzy nie żałują, lecz są odwrywani systematycznie przez ordynarnych malarzy pruskich, pokojowych i tapicerów. Taki malarz pruski, którego by w Berlinie wzięto do malowania stajni, rozpościera swoje bohomazy po ścianach perystylów stiukowych Marcinkiewicza i w salonach komponowanych stylowo przez Junga. A właściciele płacą ogromne sumy za szpecenia apartamentów swoich." Działo się tak w Łodzi roku 1898 (Goniec Łódzki, 1898, nr 133). *„I cóż pozostanie po owych milionach w Łodzi, setki domów, które przedstawiają tylko wartość cegły i wapna."*

Po współczesnych blokach i tego zabraknie, być może ostaną aluminiowe ramy okien. Zaś dzisiejsi *milionerzy* — spółdzielnie mieszkaniowe — *odrywani* są systematycznie przez fabryki domów, normy, *wielką płytę*, i służby planistyczne programujące osiedla — sypialnie, trasę W-Z, kuse placyki i plomby przy Piotrkowskiej.

Łódź, bogata w budownictwo (paradoks), uboga jest w architekturę. Do I wojny światowej pracowało tu zaledwie dwudziestu, do II wojny światowej około 10 więcej, w PRL już członków SARP wystarczyło, aby zorganizować najwięcej konkursów architektonicznych w Polsce (najmniej zrealizowanych w terenie). Jest też Wydział Architektury na Politechnice Łódzkiej, ale *pięknej* architektury wystawiono niewiele (może: Teatr Wielki, PWSSP, kilka pawilonów uniwersyteckich, szpital, kościół na Teofilowie, Dywilan). A propos. Fabryki naszego miasta zawsze znamionowały w czasie swego powstawania nowoczesność treści architektonicznych. Szczęściem dla architekta było je projektować — w rezultacie pozostawało w krajobrazie coś znaczącego i autentycznego. Kłaniała się tu TRADYCJA, spuścizna architektoniczna, która inspirowała, którą szanował inwestor, projektant i wykonawca budowlany.

Natomiast „reszta" jest milczeniem, bo milczałbym na miejscu architekta *Kardaszewskiego* i nie bronił tak uparcie swoich „plomb" (oczywiście przy ul. Piotrkowskiej) projektowanych w 1974 roku, w przestarzałych technologiach i normatywach budowlanych. Właśnie przy ul. Piotrkowskiej tandeta, tym, razem nie *wiedeńska* a *łódzka*, sygnowana nawet znakomitymi nazwiskami, preferowana w Biurze Programowania i Rozwoju Łodzi — zaśmieca oblicze i wnętrze centrum śródmieścia historycznego. Dobre projekty autorskie „plomb" (oglądałem je kiedyś na deskach niektórych architektów: były naprawdę niepowtarzalne w formie), po bardzo wielu kombinacjach programowych (architekt miasta je uwielbia) zamieniają się w plany „budowli kolegialnych" — nijakie (np. obszar placu Wolności 2, SIM) i zdecydowanie bezstylowe.

Wszystkim, i konserwatorom, historykom sztuki, architektom, artystom, robotnikom chodziłoby o to samo: o tożsamość Łodzi. W tym teatrze wojny poglądów i aspiracji — architektura pełni kapitalną rolę psychologiczną i kulturotwórczą, określając aspiracje społeczne, tradycję, narzędzia i zwyczaje. Architektura jest częścią wielkiej domeny, która stanowi *„całokształt zobiektywizowanych elementów dorobku społecznego"*. Słowem — architektura *plomb* przy ul. Piotrkowskiej czy dzisiejszej fabryki wydaje się znacznie dosadniej opisywać realną rzeczywistość, życie społeczne Łodzi w roku 1981, aniżeli inne sztuki tradycyjne.

Każdy mieszkaniec Łodzi niemal codziennie może dostrzec jak w jego mieście powstają nowe bloki, nowe pawilony i nowe osiedla. *„Głos Robotniczy"* zorganizował onegdaj minigalerię architektury, co jakiś czas zamieszczając kolejny rysunek zatytułowany *„widoki nowej Łodzi"*. Zwykle były to bloki wielokondygnacyjne, powtarzające się *kostki cukru:* urbanistyka pod linijkę. I nic w tym dziwnego. Każde niemal miasto w Polsce stawia sobie za punkt honoru posiadanie choćby jednego *mrówkowca*, *wstęgowca* czy innego *jeżowca*.

Zbyt bliska, nazbyt skrócona perspektywa, uniemożliwia architektom właściwy rozkład wartości, wykrzywia proporcje. Zjawiska ważne znikają z pola widzenia i na odwrót: drobiny przesłaniają horyzont. Bo czym można wytłumaczyć brak zainteresowania — ze strony architektów i plastyków dzielnicy i miasta — programem konserwatorskim rewaloryzacji ulicy Piotrkowskiej. Aby fabryczna twarz Łodzi była naprawdę oryginalna i piękna — nie wystarczy doprawdy napychanie programu w założone prostopadłościany centrum i konkursomania urbanistów. Chodzi o zerwanie z pytaniem, jak ma wyglądać plomba, biurowiec, hotel, filharmonia, galeria plastyki, kościół czy budynek mieszkalny śródmieścia, a o stawianie pytań, jak ma wyglądać Łódź 2000. Takie pytanie postawił *T. H. Orłowski* architektowi miasta w artykule *„Piotrkowska i jej stomatolodzy"* (*„Odgłosy"*, nr 8/1981).

Niepokojącym nieporozumieniem jest przekonanie, że przyszłością zabudowy centrum są po prostu budynki zdecydowanie dłuższe, wyższe i szersze, zdecydowanie „grubsze" niż dotychczas. Największą klęską dzisiejszej architektury łódzkiej było to, że chciała za wszelką cenę uciec przed formą „stereotypem XIX-wiecznego miasta przemysłowego" i wpadła sama w jej pułapkę.

Architekta *Bolesława Kardaszewskiego* (teoretyka architektury) namawiam do dyskusji, do opracowania raportu o stanie łódzkiej architektury. Międzynarodowy XIV Kongres Architektów UIA już za pasem — w czerwcu br., odbędzie się sesja wyjazdowa również w Łodzi.

Pewne zjawiska wytwarzane przez człowieka (architekta) mają cel komunikacyjny — interpretacja sensu ochrony zabytków architektury pozwala stwierdzić, co jest lub było w Łodzi dobrą architekturą, a co tylko budownictwem. Z wielu różnych stosowanych w ochronie zabytków sposobów wyjaśnienia wartości architektonicznej spuścizny, dwa zdają się występować najczęściej: po pierwsze wyjaśnienia dające się ująć jako pełna bądź częściowa interpretacja humanistyczna, po wtóre — wyjaśnienie, w którym wartości stanowią dyrektywy społeczno-ekonomiczne.

W Łodzi powstało unikalne zjawisko artystyczne: zabytki XIX-wiecznej architektury. W latach 1970—71 narodził się w pracowni konserwatora zabytków projekt strefy ochrony konserwatorskiej historycznej urbanistyki Łodzi i pojedynczych budowli. Nie sposób nie brać go pod uwagę w myśleniu o Łodzi 2000.

DOBIĆ TEATR?

Dalszy ciąg ze str. 1

„Wyprawa do..." — próba kabaretu dla dzieci ,co wyrosły już z teatru lalek. Tyle na scenie, bo poza nią były jeszcze inne kontakty z młodzieżą: poprzez Radę Teatralną, letni „plener teatralny", nieoficjalne wizyty, rozmowy.

Teatr jednak z dużym trudem rozstawał się z profilem typowego teatru dramatycznego, którego zasadniczą cechą jest eklektyzm, czyli... brak określonego profilu. Działania poza sceną nie znalazły jeszcze pełnego odbicia na scenie. Utrudniały to zresztą wszystkie obciążenia teatru objazdowego, a szczególnie brak odpowiedniej siedziby. Odkąd do remontu poszła własna, skromna sala przy ulicy Kopernika 8, zespół był praktycznie bezdomny.

Co prawda — przypomniał mi *Tadeusz Pliszkiewicz* — jednym z warunków objęcia przez niego dyrekcj' była obietnica przyznania wówczas jeszcze Teatrowi Ziemi Łódzkiej budynku byłego domu kultury „Lutnia", ale umowa nie miała oficjalnego charakteru. Nie dotrzymano jej. W „Lutni" remont trwa jak trwał — a w tym czasie dwukrotnie zmienił się już przyszły użytkownik...

Teatrowi im. Tuwima pozostały półśrodki: wynajmowanie sal na próby przedstawienia, wieczne wędrówki po mieście. Ale czy można zdobywać — a zwłaszcza utrzymać — swojego widza nie mając własnej sali? Miejscem stałych spotkań nie mogła być przecież ani sala ZTK „Teofilów", ani wynajmowana dwa razy w tygodniu, a przed premierą na trzy dni wcześniej, sala Teatru Rozmaitości w Pałacu Młodzieży... — Nasze premiery nigdy nie są gotowe — przyznaje Pliszkiewicz. I taka jest prawda.

Brak stałej sceny — mimo zmiany szyldu i dążeń do stacjonarności — uniemożliwił również w pierwszym roku działania Teatru im. Tuwima zmniejszenie liczby przedstawień „na wyjeździe". Na 340 spektakli w roku 1980 tylko 91 grano na terenie województwa miejskiego łódzkiego, a w samej Łodzi — jeszcze mniej. Obowiązki sceny objazdowej — uciążliwa scheda po jedynej scenie teatralnej w dawnym województwie — ciągle narzucały zespołowi stary, niedobry styl pracy, konieczność przygotowywania dwu właściwie wersji tej samej inscenizacji („na bazę" i „na teren"), pośpiech, ułatwienia. A przecież zgodnie ze starą, teatralną zasadą i wymogami pedagogiki, sztuki „dla młodzieży" powinno przygotowywać się nie mniej starannie niż „dla dorosłych", a może i bardziej.

Nie lepsze niż w Łodzi, były warunki „w terenie". Coraz częściej stawały się powodem konfliktów. Aktorzy „w objeździe" są skazani na siebie. Najwięksi antagoniści muszą czasem nie tylko razem grać, ale podróżować i mieszkać...

Co prawda ustalono wreszcie, że np. w obrębie byłego województwa łódzkiego jedynie 11 sal nadaje się do grania w ciągu całego roku, zapewnia w miarę przyzwoite warunki. Przynajmniej w teorii.

— *W praktyce* — mówią aktorzy — *gramy często z... litości. Organizatorzy, którzy czegoś nie dopilnowali, tłumaczą się trudnościami, biadolą... A my litujemy się i gramy. Bo grać trzeba. Choć powinniśmy mieć zagwarantowane prawo nie zaczynania, gdy druga strona nie dopełni umowy.*

Im dalej od Łodzi ,im trudniej z dojazdem, im częstsze i uciążliwsze podróże, tym lepsze powinny być hotele, sale, zaplecza. Tym wyższe limity i większe środki na podróże służbowe, bo od nich zależy spanie oraz wikt. Tym sprawniejszy transport, którego wiek sięgał do niedawna — jak wszystkie niemal zaniedbania — lat pięćdziesiątych; tym wyższe wynagrodzenia dla kierowców pracujących w niedziele i święta.

Jak pomóc teatrowi? — pytali dramatycznie członkowie zespołu w pismach kierowanych do władz i redakcji — teatrowi bez sali widowiskowej, wyposażenia pracowni i niezbędnego sprzętu. Bez odpowiedniej aparatury akustycznej, oświetleniowej, projekcyjnej. Bez dobrego transportu, bez magazynów, garaży. Bez pełnego stanu obsługi i fachowców? Jak?

* * *

Stosunek władz... Po reformie administracyjnej członkowie zespołu nieraz mogli odczuć, że dla nowych — miejskich — władz są kłopotem. — Nieznany w Łodzi, chociaż „łódzki" — mówi o swoim — byłym już teatrze — *Tadeusz Pliszkiewicz.*

W komentarzu do listy postulatów skierowanych do „jednostki nadrzędnej" czytamy: *„Plany Wydziału Kultury dotyczące losów naszego teatru były dość rozległe, przewidywały stałą scenę w Łodzi, przy czym teatr nasz na tej scenie miał realizować widowiska przeznaczone dla młodzieży.*

Z planów tych nie pozostało nic. Nowe kierownictwo Wydziału Kultury zbagatelizowało wszystkie potrzeby i ustalenia. Wystarczy stwierdzić, że mimo drastycznej sytuacji, w jakiej się znajdujemy, plan opracowany przez Wydział przewiduje remont naszego teatru dopiero w trzeciej kolejności, po Filharmonii i Teatrze Pinokio (...). Mimo, iż od reformy administracyjnej upłynęło wiele lat, 26 września 1980 roku po raz pierwszy zespół gościł przedstawicieli Wydziału Kultury, chciaż wielokrotnie takiego spotkania domagaliśmy się. Brak takiego spotkania odczuliśmy szczególnie w chwili obejmowania teatru przez dyr. Pliszkiewicza. Brak nam było rzetelnych informacji ze strony Wydziału dotyczących nowego kształtu naszego teatru". Smutno zabrzmiała konkluzja:...

„W dalszym ciągu odczuwamy na każdym kroku, że teatr nasz przejęty został z byłego woj. łódzkiego jako „dobrodziejstwo inwentarza" i traktowany jak niechciane dziecko...".

— *Władze chciałyby nas mieć z głowy* — mówią mi w teatrze i cytują autentyczne słowa jednego z łódzkich dygnitarzy: — *„My byśmy ten teatr rozwiązali, ale jak już bardzo chcą — niech się bawią"*... Ponura to zabawa.

Tymczasem w ciszy gabinetów od pewnego czasu dojrzewa decyzja likwidacji Teatru im. Tuwima. Co prawda w ciągu zeszłego i tego roku Wydział Kultury UMŁ wyasygnował ok. 1,5 mln. złotych na bieżący remont teatru (który przeprowadza go własnym sumptem), ale uczynił to z pełną świadomością, iż ratuje umarłego. Techniczna ekspertyza skazała przecież budynek teatru na rozbiórkę. Nie mniej remont trwa, a prace przeniosły się z sali widowiskowej na foyer i zaplecze. Choć sala czeka jeszcze na wyposażenie, już znowu można grać na „starych śmieciach". I gra się.

A przecież autorom postulatów, zespołowi, nie o to chodziło, gdy jesienią zeszłego roku przypominali dawną obietnicę przyznania teatrowi „Lutni"! Nie o tę łataninę, którą sztucznie przedłuża się wegetację teatru, stwarza pozory autentycznego życia.

Żaden nawet największy remont w budynku zużytym — jak powiada z-ca dyrektora — *Tadeusz Jankowski — w 99 procentach, nie załatwi sprawy, nie spełni wymogów profesjonalnego teatru, nie zaspokoi potrzeb zespołu.* Jego zdanie pokrywa się zupełnie z opinią pracowników Wydziału Kultury i Sztuki.

— I nie ma — co gorsza — perspektyw poprawy. Nie ma, bo do remontu szykują się ważniejsze obiekty: Filharmonia, Teatr Nowy, bo brakuje środków na dobudowę magazynów w Teatrze Wielkim, bo na remont czeka „Pinokio", bo...

Z teatru — jak się okazało — splendor dla Łodzi żaden, albo niewielki, skoro 60 procent (do niedawna 80) przedstawień odbywa się na wyjeździe. Teraz wprawdzie — w związku z zakończeniem remontu sali przy Kopernika — zmniejszono o 30 plan spektakli poza bazą. Ale w dalszym ciągu — z perspektywy Łodzi — objazd jest czymś naciąganym, zbędnym, niekoniecznym.

A już dublowanie innych teatrów dramatycznych — o czym była wyżej mowa — przy dużo niższym poziomie artystycznym, zmusza do postawienia pytania o ekonomiczny sens utrzymywania takiej sceny. — *Czy Łodzi jest niezbędne 7 scen dramatycznych? A może 6 w zupełności wystarczy?* — zastanawia się inspektor *Urszula Raczkowska* z Wydziału Kultury UWŁ. Zwłaszcza, jeśli jeszcze weźmie się pod uwagę spadającą frekwencję w teatrach. A jeszcze w przypadku Teatru Tuwima często gęsto między ilością sprzedanych „w terenie" biletów, a rzeczywistą ilością widzów, jest spora różnica.

Zaglądam do statystyk. Liczba widzów w Teatrze Tuwima — 1979 — plan: 96 tys., wykonanie 103 tys. Ale w następnym roku wykonanie przekracza plan zaledwie o 45 widzów (i wynosi dokładnie 98.043). Na rok 1981 plan jest wyraźnie niższy: 79.200. Może jednak fakt grania częściej we własnej siedzibie pozwoli go przekroczyć.

Żaden teatr w Polsce nie przynosi zysków, państwo dopłaca do każdego krzesła. Różnie, w zależności od typu teatru. Dotacje na działalność Teatru Tuwima wyniosły kolejno:

1975 — 8 mln. 841, 1978 — 9 mln. 315, 1979 — 10 mln. 453.

1980 — już 12 mln. 183. Rosły.

Liczby te uwzględniają także dofinansowania w ciągu roku, a to na podwyżki płac, a to na remonty. W 1979 roku dofinansowanie Teatru Tuwima opiewało na 1.078 tys., w 1980 — już na 1.328 tys. (w tej liczbie część jest efektem ogólnopolskich podwyżek).

Z porównań liczb wynika, że Teatr Tuwima plasuje się ze swymi dwunastoma milionami dotacji (1980) — między Teatrem Lalek „Arlekin" (11.903 tys. dostacji) a Teatrem Powszechnym (18.580 tys.). Ale choć daleko mu do wszystkich teatrów dramatycznych, nie mówiąc już o najbardziej kosztownym Teatrze Wielkim, to jednak można spytać, czy te 12 milionów naprawdę warto weń inwestować? Czy stać jeszcze miasto na dalsze podtrzymywanie smutnych pozorów istnienia?

Zaraz, hola! — zaoponują członkowie teatru. — Przecież te pieniądze nie idą z kieszeni miasta... Cóż mu zatem do tego, że dzięki nim bawią się widzowie w Krośnie albo w Suwałkach? A jeśli nawet, czy wobec tego istnieją oddzielne kultury: łódzka, suwalska... czy też może jedna — jedyna — NARODOWA?

Władze ripostują: ten teatr niewiele daje Łodzi, a jednak ją kosztuje. To fakt, że nie miasto asygnuje dotacje, tylko ministerstwo — centralnie. Ale wszystkie te pieniądze przychodzą w jednym worku — dla całego miasta. A ściślej: dla wszystkich łódzkich teatrów. I już do magistratu należy dalszy podział... Jest więc i tak, że działalność, marna działalność, albo pozałódzka, obciąża wszystkie inne sceny pod patronatem Wydziału Kultury.

Mówiąc o Teatrze Tuwima, chętnie przypomina się ten fakt. Bo czy rzeczywiście nie lepiej rozwiązać teatr, a uzyskane pieniądze — oczywiście nie dawszy sobie ich najpierw wyrwać dla celów centrali — podzielić między pozostałe, lub przyznać najbardziej potrzebującym? Tam, gdzie — podpowiada ktoś trochę złośliwie, ale i zgodnie z prawdą — więcej czasu poświęca się na pracę, podnoszenie poziomu, a mniej — na swary...? Co na ewentualnej likwidacji straci kultura Łodzi? Czy naprawdę 6 scen dramatycznych nie wystarczy? Po co trzymać za wszelką cenę przy życiu coś, co ani nie ma koncepcji, ani szans na lepszego dyrektora, ani bazy, ani perspektyw na nową?

Pytania, pytania... Czy kryje się za nimi bezduszna, niewrażliwa, zaślepiona i przerażona kurczącymi się sakiewkami administracja kultury? A może po prostu ZDROWY ROZSĄDEK?

Zapraszam do dyskusji.

* * *

Naturalnie, dopuszczając heretycko brzmiącą myśl o likwidacji teatru i to, bądź co bądź, wkraczającego w trzydziestolecie, władze muszą zdać sobie sprawę ze wszystkich konsekwencji. I z tego, że podpisując taką decyzję, stworzyłyby precedens.

Mam świadomość, że poruszam tu temat „szalenie niepopularny", „niesłychanie drażliwy", „sprawę bardzo delikatną" (a to jeszcze nie wszystkie określenia, których używali moi rozmówcy). Jeśli bowiem już likwidować, to sedno problemu sprowadza się do pytania: co zrobić z ludźmi?

Zgodność panuje co do tego, że nie powinno być większych kłopotów z pracownikami obsługi technicznej, a zwłaszcza z poszukiwanymi w branży — rzemieślnikami. Gorzej z administracją (w Teatrze Tuwima 10 osób).

A z aktorami to już wręcz tragedia!

W 36-osobowym zespole artystycznym teatru pracuje 33 aktorów (reszta to inspicjenci, suflerzy). Ze wszystkimi — nie licząc siedmiu „zbuntowanych" — odnowono już umowy na następny sezon. Co będzie, jeżeli do końca maja Urząd Miasta podejmie decyzję o zamknięciu teatru?

Matematycznie wygląda prosto: 33 to liczba podzielna. Przez trzy, bo tyle jest — poza Tuwima — w Łodzi teatrów dramatycznych.

Być może ktoś jednak będzie np. wolał emeryturę. Pięciu aktorów z tego zespołu urodziło się w latach dwudziestych.

Straszne słowo: parcelacja, a jednak nie byłoby innego wyjścia. Który z aktorów chciałby bowiem przekwalifikowywać się dobrowolnie? Wydział Kultury musiałby raczej — o ile wiem — jest w stanie to uczynić, zagwarantować dyrekcjom pozostałych łódzkich teatrów dramatycznych płace dla tych aktorów. To się jeszcze da zrobić. Co więcej, trzeba by im zapewnić jeszcze roczną, albo nawet dwuletnią nietykalność. Ale co dalej? Ilu by grało, przynajmniej nie mniej, niż w swoim dawnym teatrze? Pytanie to ważne nie tylko ze względu na prestiż, czy artystyczne ambicje. Jeśli grasz więcej w miesiącu, przekraczasz normę — więcej zarabiasz.

Co prawda przez długie lata aktorzy Teatru Ziemi Łódzkiej skarżyli się na gaże niższe, aniżeli w innych teatrach dramatycznych. Dyrektor *Jankowski* twierdzi jednak, że na rękę i tak dostawali więcej niż koledzy, którzy nie „jeździli w objazdy". A już teraz — po ostatnich podwyżkach, paru regulacjach, przyjęciu przez Teatr Tuwima tzw. protokołu nr 9, nie ma chyba pretensji. Zmniejszono „normy", podskoczyły najniższe pensje, poniżej 4 tys. nie ma chyba żadnej — podkreśla dyrektor — a niektórzy zarabiają i po 20 tys. też, oczywiście, głównie dzięki „objazdom".

Po (ewentualnym, cały czas zaznaczam) opuszczeniu tej sceny i przeniesieniu się do Nowego, Powszechnego czy Jaracza, — wielka niewiadoma. Władze mogą gwarantować „nietykalność" ale na obsady nie będą mieć wpływu. O jakichkolwiek artystycznych zobowiązaniach nie może być mowy.

Jest w zespole Teatru Tuwima niemało osób „zasiedziałych", przywiązanych do tego miasta i tej sceny, a także takich, którym z różnych względów jest tu wygodnie. Między innymi dlatego trzeba było odrzucić projekt przeniesienia teatru do Piotrkowa. I choć powiada się, że w naturze aktorskiej profesji jest ruch, że konieczne są zmiany scen i środowisk, większość zapewne członków zespołu tego teatru chciałaby pozostać w Łodzi. Lepsi (i sprytniejsi — dorzuci ktoś) dadzą sobie radę. Ale część aktorów całą swoją karierę związała z Teatrem Ziemi Łódzkiej, potem Tuwima, albo obeszła inne łódzkie sceny, albo w ogóle tam nie dotarła i zatrzymała się w tym teatrze, który nosi już nieoficjalnie miano „przechowalni aktorów" (jest to zresztą jedno z bardziej oględnych określeń). Co wcale jednak nie powinno pomniejszać naszego dla nich szacunku. Tyle, że przyczyny tego szacunku są inne, niż w wypadku na przykład... Zapasiewicza.

Zapędziłem się w tym „gdybaniu", a przecież decyzji o likwidacji teatru nie ma, *„jest przymiarka"* — jak określa pani inspektor *Raczkowska.* Pytanie brzmi: jak znaleźć najwłaściwszą drogę do podjęcia tej decyzji? Chodzi o obiektywizm.

Nie sposób zadecydować o czymkolwiek bez szerokiej konsultacji. Pierwsze próby napotykały kłopoty, choć Wydział Kultury wykazuje taką skupulatność i ostrożność, że może wyglądać to nawet trochę na próbę przerzucenia odpowiedzialności za niepopularną decyzję z urzędu na „środowisko".

A „środowisko" tymczasem — chociaż dla władzy byłoby idealnym ułatwieniem, gdyby to ono wystąpiło z taką inicjatywą — mnoży obawy i wątpliwości. Poniekąd zresztą zrozumiałe.

Rozmowy z członkami Zarządu Oddziału ZASP — SPATiF, czy przedstawicielami Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność" teatrów łódzkich, są trudne, dwuznaczne. Istnieje rozbieżność między prywatnym zdaniem, a poczuciem konieczności obrony — z ramienia organizacji — interesów kolegów. I ci, i tamci muszą być lojalni. — Powołano nas do ochrony interesów środowiska, kolegów. — mówią. — Jakże więc mamy żądać dobijania teatru, przykładać rękę do jego dramatu? „Prywatnie" wielu twierdzi rzecz jasna: ten teatr powinien być rozwiązany. Tu konieczne jest generalne cięcie... Ale za chwilę zastrzegają się, by to skreślić, albo nie wymieniać nazwiska. Żaden z nich nie chciałby być nigdy w skórze kolegów z „Tuwima".

Zamiast więc opinii organizacji — w pierwszej fazie proponuje się powołanie specjalnej komisji złożonej z teatralnych biegłych i autorytetów: dyrektorów, reżyserów, krytyków i kogo tam jeszcze. Planuje się wysondować opinie na ten temat w Zarządzie Głównym SPATiF, w krajowej Komisji Porozumiewawczej „Solidarności" teatralnej itd. Teatrów, nad których losem trzeba by się dziś zastanowić, jest więcej. A może również łamy „Ogłosów" mogłyby posłużyć chętnym wyrażenia swych opinii?

* * *

Władza marszczy surowo czoło, pilnie słucha argumentów, organizuje konstultacje, ale — odnoszę takie wrażenie — j u ż w i e s w o j e. I może dlatego również jej przedstawiciele — by nie wywoływać wrażenia, że — niezależnie od wyników konsultacji — klamka i tak zapadnie — wolą z dziennikarzem rozmawiać p r y w a t n i e.

Jedno odczucie po tych rozmowach jest niepokojące: że pominie się — świadomie — opinię zespołu teatru, ludzi najbardziej zainteresowanych, tych, którzy od początku września ślą do władz — nie zawsze zresztą z tych samych pozycji — dramatyczne apele i rozpaczliwe memoriały... Z niektórych wypowiedzi wynika bowiem, że władze mają już lekko dość demokracji, która zakrólowała przy Kopernika 8. A to jest groźny rodzaj zniecierpliwienia. Obosieczny w skutkach.

Tymczasem — chociaż, czego się nie ukrywa, trwają jeszcze waśnie i nie wygasły wszystkie ogniska konfliktów — w samym teatrze jakby zmienia się. Wielu utrzymuje, że na lepsze. Oby... lecz czy zdążymy to jeszcze sprawdzić?

W marcu rezygnację złożył dyrektor i kierownik artystyczny *Tadeusz Pliszkiewicz.* Została przyjęta.

Podczas kolejnej wizyty w teatrze w początkach kwietnia informują mnie, że na ostatnim zebraniu zespołu artystycznego — gdzie między innymi rozprawiano o kandydaturach na stanowisko dyrektora — doszło do czegoś, co można by — ostrożnie — nazwać próbą zbliżenia, konsolidacji w łonie skłóconego zespołu. Przypominam sobie apel, jaki usłyszałem z ust któregoś z aktorów w tym teatrze we wrześniu: *„Koledzy, szanujmy się, jesteśmy kompletnie rozbici, a nie zapominajmy, że tworzymy jedną aktorską rodzinę".*

Może jednak nie zapomnieli?

* * *

Z wieloma pytaniami, pomysłami, nadziejami ,ale i obawami, znalazł się ten teatr u progu swego jubileuszu. Trzydziesty rok istnienia ma szansę zapisać się w jego kronice jako okres najburzliwszy...

Ale właśnie, czy nie przedwczesny to jeszcze zapis? Bo — jak na razie — nikt w teatrze nie myśli o jubileuszu.

— *Trzydziestolatek nam zachorował i nie wiadomo, czy wyżyje* — komentuje aktor *Henryk Maruszczyk.*

I naprawdę nie wiadomo, czy los da mu jeszcze szansę. I czy zamiast jubileuszowego bankietu nie czeka tu wszystkich STYPA.

TOMASZ SOLDENHOFF

7 kwietnia 1981

Życie, jak się zwłaszcza dzieje ostatnio, wyprzedza dziennikarskie pióro. Już po złożeniu materiału do druku dowiedzieliśmy się o interesującej propozycji Wydziału Kultury UM połączenia Teatru im. Tuwima z Teatrem Powszechnym. Do tematu niebawem powrócimy.

(Red.)

DOKUMENTACJA

TADEUSZ WIEŻAN

Umówieni byliśmy na lotnisku w Białymstoku.

Reżyser ze scenografem przyjeżdżali z Warszawy. Ja fiatem z Łodzi, a helikopter miał przylecieć z Dęblina. Tu zabieraliśmy jednego faceta z Gospodarki Wodnej, który miał nam pomóc w znalezieniu terenu przypominającego „bagna biebrzańskie".

A każde dziecko wie już ze szkolnej mapy, że jak bagna to rozlewiska Bugo-Narwi, stąd ten gwieździsty zlot w Białymstoku. Było bardzo wcześnie rano kiedy wjeżdżałem na trawę lotniska. Obok małego hangaru stał Gawron, dalej samolocik ze znaczkami czerwonego krzyża i wysunięty do przodu człowiek w szarym ortalionie.

Zaparkowałem wóz bliżej budynku, żeby nie przeszkadzał w lądowaniu.

— *Jestem z filmu!* — Powiedziałem do faceta w ortalionie.

Nie lubię jak nieznajomy nie rozpromienia się natychmiast. Nie chce mi się tłumaczyć mu wszystkiego od początku. Facet powiedział dzień dobry i przy uścisku dłoni nazwisko. Ja swoje powiedziałem wyraźnie w końcu powinien je znać. Wyczekałem odpowiednią chwilę, ale na nim nie wywarło to żadnego wrażenia. „Wał" pomyślałem i przestał mnie zupełnie interesować. A tak fajnie się zaczynało, spotkanie na lotnisku jak w gangsterskim filmie, ale teraz już staliśmy patrząc jeden na drugiego i nie mając nic do powiedzenia — zraził mnie kompletnie.

— *Pan z filmu, czy z telewizji?* — Zaczepił po chwili. W pytaniu kryło się niebezpieczeństwo, Nie czekając więc na atak, strzeliłem pierwszy.

— *Robiłemy film o 39 roku. Na kolorze o kawalerii.*

Powiedziałem bardzo szybko, żeby faceta rozczulić i nie wysłuchiwać gromów za rodzimą kinematografię.

Wydawało mi się, że zauważyłem błysk w jego oku, ale to co mówił zaprzeczało moim spostrzeżeniom.

— *Ja panu pokażę.* — Prawie krzyczał. — *Ja panu pokażę, gdzie w 39 przechodziła kawaleria.*

Uśmiechnąłem się z udaną wdzięcznością. Co on może nam pokazać — pomyślałem jak my dysponujemy helikopterem.

W międzyczasie podjechała nyska i wysiedli z niej reżyser ze scenografem. Miałem więc obowiązek przedstawić panów.

— *Nas interesuje ten klin, gdzie Narew łączy się z Bugiem.* — Zaczął z miejsca rzeczowo mój przyjaciel. Kolega scenograf z fantazyjnie zawiązaną apaszką i olbrzymią teczką z bristolem pod pachą, robił z nas wszystkich najlepsze wrażenie. Nie widziałem go dawno, pomimo więc w dobrym stylu utrzymanej elegancji, na twarzy można było zauważyć pewne oznaki zmęczenia.

— *Serwus!*

— *Cześć!* — Odpowiedziałem.

— Jak ci leci?

— *Lecieć leci, ale nic więcej* — uśmiechnął się. — *Źle spałem* — dodał po chwili.

Reżyser w międzyczasie tłumaczył przedstawicielowi Wydziału Łąk i Melioracji kolejność ujęć w sekwencji montażowej pt. „Bagna Biebrzańskie".

— *A ty w dalszym ciągu śpisz jak kamień?* — Zwrócił się do mnie z nieukrywaną zazdrością.

— *Tak, jak mam czas to śpię. No wiesz głowa niczym nie zaprzątnięta.* — Powiedziałem, żeby mu zrobić przyjemność. Ale nie złapał się na ten prosty komplement, a jeszcze kilka dni temu cieszyłby się, że tak pochlebnie wyrażam się o jego głowie. Dzisiaj już go to nie cieszyło, miał zmartwienie.

Gdy zbliżaliśmy się do reżysera i przedstawiciela Wydziału Melioracji, ten ostatni jak zahipnotyzowany powtarzał jedno i to samo zdanie: To będzie wspaniały film, to będzie wspaniały film!

Reżyser jadł grubą kanapkę z serem, był spokojny, nowo pozyskany człowiek już połknął bakcyla „filmu".

— *Jeszcze coś nie widać. Ja jeszcze nie leciałem tym wariatem.*

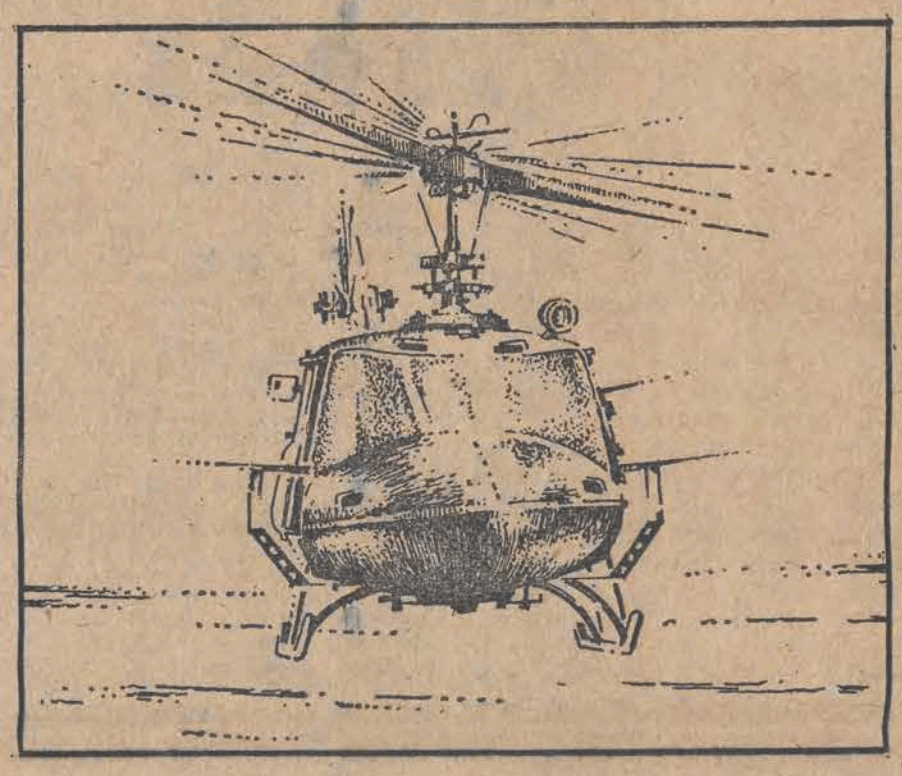

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Wyraźnie się ożywił, potrzył na nas zupełnie innym wzrokiem.

Jerzy nachylił się do mnie: — *jeszcze moment, a będzie nas wypytywał jak jest z artystkami.*

I nie czekając aż to nastąpi, sam włączył się do rozmowy.

— *Pan z tych stron?*

— *Tak, tu się urodziłem i tu pamiętam wojnę 39 i 45.*

— *Nie, mnie chodzi o to, czy nie wie pan, gdzie tu można by kupić miodu. Ale żeby nie był podrabiany...*

— *Można, ale stąd daleko.* — Odparł mężczyzna, zaskoczony pytaniem.

Widząc to reżyser pośpiesznie przełknął ostatni kęs.

— *Myślałem, że pana zapytasz o zabytki architektury. Po co ci miód?*

— *Lekarstwo. Bardzo dobre na serce.*

Na niebie zawisł helikopter i wolno schodził do lądowania. Wiatr owiał nasze twarze. Po chwili płaty śmigłowca zaczęły obracać się coraz wolniej, aż wreszcie zatrzymały się i śmigłowiec przypominał teraz belgijskiego królika i z opuszczonymi uszami. Z kabiny wyskoczył przystojny kapitan. Szybka wymiana uścisków dłoni. Orientacja mapy i już zapinamy pasy. Potężny łomot silnika przerywa konwersację. Spóźniony przedstawiciel lotniska daje znak ręką, że wszystko w porządku i windą jedziemy w górę. Nie lecimy wysoko, ale już ta wysokość wystarcza, żeby człowiek poczuł się trochę ważniejszy od tych tam na dole.

Pogoda jest piękna w śmigłowcu drzwi uchylone, daje to możliwość reżyserowi pozdrawiać dzieci idące do szkoły i wieśniaków grabiących siano i maszynistę w parowozie, który zatrzymał się pod sygnałem.

Jeszcze chwila i pod nami rozpościera się równy zielony dywan poprzecinany równiutko kanałami jak geograficzną siatką.

Pilot pokazuje w dół, przedstawiciel potakuje głową, reżyser i my patrzymy usilnie, unosimy się w górę zataczamy koła, ale nic, tylko zielona bujna łąka. Jeszcze gonimy koło małego lasku, starego łosia z małym i reżyser daje znak, że wracamy na lotnisko. Ledwie opuściliśmy kabinę i oddaliliśmy się poza ramiona wolno obracającego się śmigła, gdy rozgorzały rozmowy.

— *Myśmy pana prosili, żeby pan nas zawiózł nad rozlewiska Narwi, nam są potrzebne bagna.* — Zwrócił się reżyser do pilota z nie ukrywaną nutą żalu.

— *Właśnie tam byliśmy.* — Odparł kapitan.

— *Ale tam przecież nie ma żadnego bagna.*

— *To jest bagno, ale zmeliorowane.* — Wtrącił się przedstawiciel Wydziału Melioracji.

— *Kiedy?*

— *Już od sześciu lat. Jeszcze za mojej kadencji.*

— *Szkoda.* — Zmartwił się reżyser.

— *Szkoda!* — Powtórzyłem za przyjacielem.

— *Wielka szkoda!* — Podsumował scenograf.

— *A nie można by tego ponownie zalać?* — Zaproponował reżyser. Przedstawiciel melioracji stworzył bardzo szeroko oczy i usta, co upoważniło mego przyjaciela do śmielszej agitacji.

— *Bo widzi pan, my robimy patriotyczny film o tym jak oddział kawalerii w 39 idąc na front osaczony przez Niemców przeszedł przez bagna.*

— *Panie to jest pana zawód, pana sprawa ja tylko powiem, jak tu było. W 39 wpadli tu w bagna Niemcy, a nasza kawaleria obeszła ich grobłami. Tak było! A zalać nie można.* — Dodał na zakończenie zdegustowany.

— *Tak, to ciężka sprawa.* — Wtrąciłem się do rozmowy widząc, że i tak nic nie wskóramy.

— *To kawał roboty. Ciężko wam było.* — *Chciałem*, żeby sobie ponarzekał, bo tylko tyle mogłem mu ofiarować.

— *Ciężko!* — Zachęcałem.

— *Panie, temu ciężko jak kto nie umie, albo się leni — jeszcze jak w błaganie pracuje to takiemu ciężko.*

Rozmowa właściwie była skończona.

Staliśmy jeszcze wszyscy. Jurek już nic nie wspominał o miodzie. A przedstawiciel melioracji sam monologował, patrząc cały czas w oczy kapitanowi.

— *Tu bagien nie ma.*

— *Tu pan bagien nie znajdziesz. Zresztą koń w bagnie to się utopi, kto by wjeżdżał koniem do bagna, szkoda zwierzęcia.*

— *Oni mają różne sposoby.* — Zauważył kapitan.

— *Ja widziałem te ich sposoby jak konia ze skały zrzucali.*

Zrobiło się nieprzyjemnie, trzeba było się żegnać.

Dokumentacja była skończona.

Małgorzata Tatiana Skwarek

CZAS PRACY

Przemyka cicho po halach
Wśród łoskotu dyszących maszyn
I goniących go dłoni
Jest w każdej barwie
W każdej nitce skręcony
Jest w zmarszczce tkaczki
W każdym pyłku
Przez który oko łzawi
Szumi w tkalnianym gwarze
Na przewijarkach wiruje
Plącze się po kuchni
Lecz nim otworzy drzwi
Dla innego czasu
Zdąży jeszcze zniszczyć
Dłonie barwiarza
Zgiąć plecy urzędnikowi
I zabarwić ręce sprzątaczki

I nagroda w Turnieju Poetyckim o Laur Czernika „Wiosna 1980"

Wanda Lament

☆ ☆ ☆

1

Swiait się kręci jak kółko graniaste
Bóg wystukuje na klawiszach nasze życie
na czarnych zło na białych dobro
lież to razy siedząc na kamiennych schodach
pod drzwiami przyjaciół którzy o mnie zapomnieli
pod drzwami wrogów którzy pamiętają
moja dusza wzbierała zapachem migdałów
a ciało smakiem żółci i octu

2

matka pierze firanki — białe zawoje galaktyk
płukane w czystych wodach dzieciństwa
matka moja matka
urodziła miliard Chińczyków dziesięć
milionów Żydów trzysta milionów Murzynów
a o mnie jakby zapomniała
leżę więc sobie cichutko w pustym
kielichu i czekam kiedy słońce przeleje się w
żyły a miód południa ugasi pragnienie ziemi
jeszcze mnie nie ma więc nie
możesz postawić b i a ł e j kropki
w wierszu moja biedna
śmierci

I nagroda w Turnieju Poetyckim o Laur Czernika „Jesień 1980"

Jarosław Borszewicz

☆ ☆ ☆

jeszcze będziemy
rozmawiać z hemingwayem
w ciasnych izolatkach
psychiatrycznych szpitali

2.

jeszcze będziemy
wchodzić na cokoły
opuszczane pospiesznie
przez gipsowe kukły

3.

jeszcze będziemy
uciekać do schronów
na widok
zorzy

4.

jeszcze będziemy
spotykać ludzi
dla których warto było
nie zawisnąć na gałęzi

5.

jeszcze będziemy
szukać sensu życia
w kropelkach deszczu

6.

jeszcze będziemy
oswajać kobiety
spotkane przypadkowo
na stacyjkach do nikąd

7.

jeszcze będziemy
przepraszać ryby
tracące głos
na widok wody

8.
jeszcze będziemy
z pianą na ustach
zdobywać fortece
białych motyli

9.

jeszcze będziemy
zbierać okruszki ziemi
by im doprawić złote aureole

jeszcze będziemy
budować mauzolea
ziarenkom piasku

10.

jeszcze będziemy
tracić zmysły
na widok normalnych ludzi

jeszcze będziemy
walczyć
aby nie zginąć
i ginąć
aby nie walczyć

I nagroda w Turnieju Poetyckim o Laur Czernika „Zima 1980"

PROZA

COOL SEX

Tak nazywa autor to, co bohater „Zapachu psiej sierści" ma do zaoferowania kobietom, wszystkim bez wyjątku, z którymi miał i ma do czynienia. Zimny, wyrachowany, pewny siebie, wiecznie młody i nienasycony. Zdumiewać musi łatwość, z jaką bierze wszystko, co życie mu daje, zdumiewa powierzchowność pojmowania życia u kogoś, kto przeżył powstanie warszawskie, przeżył rodzinną tragedię i zajmuje wybitną pozycję w świecie artystycznym. Być może tłumaczy go wakacyjne nastawienie i rozleniwienie (powieść Żukrowskiego rozgrywa się na słonecznych plażach Bułgarii), ale tylko częściowo, bo przecież liczne retrospekcje ukazują Pawła Jasiona w najróżniejszych sytuacjach i zdają się pogłębiać jego charakterystykę. Wypada ona raczej niekorzystnie — miejsce dawnego idealisty zajmuje człowiek chytry, opanowany żądzą użycia, hołdujący łatwej, bezproblemowej egzystencji. Wygodnictwo, bogactwo, sex — to najważniejsza dlań triada Oto nadarza się wymarzona okazja zdobycia większej gotówki. Paweł odkrywa przesyłkę z narkotykami i za cenę dziesięciu tysięcy dolarów gotów jest zwrócić ją „prawowitym" właścicielom.

Taka właśnie — wyraźnie sensacyjna — jest kanwa najnowszej powieści Wojciecha Żukrowskiego. Z wszystkimi tego konsekwencjami: „mrożącymi" krew w żyłach przygodami, porwaniami, szantażem, trupami, „nietykalnością" głównego bohatera itd., itp. A więc z wszystkimi typowymi dla literatury sensacyjnej uproszczeniami. Oczywiście o ile przesadą byłoby porównywać gorące przygody rzeźbiarza Pawła z doświadczeniami krewkiego dziennikarza Maja z „Życia na gorąco", o tyle nie ulega przecież wątpliwości, że decydując się na sensacyjną fabułę podjął Żukrowski wyraźne ryzyko — nie można bowiem traktować zupełnie serio „poważnych" analiz psychologicznych, obserwując z jaką beztroską i niezmiennie obronną ręką wychodzi bohater z „niewiarygodnych" przygód. Jak wierzyć komentarzowi narratora, na przykład takiemu: „za wszystko, po co sięgniemy, za każde doścignięcie, spełnienie pragnień, trzeba płacić. Różnie: niepokojem w sumieniu, poczuciem cudzej krzywdy lub bólem utraty, bo nagle pochwyciwszy czujemy, że to jednak nie to, czego się spodziewać można było", skoro nie przekonuje nas ani niepokój sumienia, ani poczucie bólu po stracie dziewczyny, atrakcyjnej Niemki z Lipska, od której Paweł otrzymuje prawdziwą nauczkę — lekcję uczucia i moralności. Nawet rzeczywisty niepokój o syna wmieszanego w kryminalną aferę nie jest w stanie wywołać w czytelniku przeświadczenia o nagłej zmianie charakteru bohatera „Zapachu psiej sierści", jakkolwiek końcowa scena powieści stanowiłaby takie właśnie, zupełnie jednoznaczne przesłanie. Za bardzo, zbyt dokładnie i bezlitośnie obnażył po prostu pisarz swego bohatera, by można mu było potem zaufać tylko na słowo. Chyba że cool sex zamienimy na ckliwy sentymentalizm.

Jeśli jednak pominąć cały sensacyjny sztafaż — to można w powieści Wojciecha Żukrowskiego dostrzec prawdziwy i głęboki dramat artysty, którego powołanie zagubiło się w zwykłej ludzkiej próżności. I który nie potrafi o własnych siłach z owej pułapki się wydostać, poprzestając na dość problematycznej zresztą wierze w państwowy mecenat: „W końcu Polska, ten najdziwniejszy z krajów, daje twórcom wszystko, o czym marzą, jeśli tylko naprawdę tego pragną, spełnia nawet dziwaczne zachcianki. Jeszcze ciągle twórca ma tu szacunek, choć robi tyle głupstw..." Nic dodać, nic ująć.

Sex i sensacja przydają niewątpliwie barw literaturze, zwiększają jej popularność. Czy jednak podnoszą jej rangę jako narzędzia analizującego współczesne postawy moralne? Śmiem wątpić. Bo po prostu trudno tu wyjść poza pewne stereotypy, czy — mówiąc brutalnie — samograje przedstawiające życie jako „fajną", choć może i niebezpieczną, przygodę. Zaś dla prawdziwego artysty życie nie może być wyłącznie przygodą. Już raczej źródłem — proszę wybaczyć staromodne słowo — natchnienia. Z takimi właśnie mieszanymi uczuciami przyjąłem książkę Wojciecha Żukrowskiego.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

W. Żukrowski, Zapach psiej sierści, Czytelnik, Warszawa 1980, nakład 50 320 egz., str. 251, cena zł 30.

LITERATURA DLA DZIECI

JA BAJKI TAK LUBIĘ OGROMNIE

W ubiegłym miesiącu pojawiła się w sprzedaży książka dla dzieci — *„Moje bajki" — Igora Sikiryckiego.* Jest to zapewne najlepsza i najładniejsza książeczka, jaką wydano w ostatnich latach. Forma rymowanej przypowieści o tematyce społecznej i psychologicznej jaką jest bajka, to jeden z najprostszych sposobów przekazywania dzieciom wiedzy.

Trzynaście bajek Sikiryckiego, każda zobrazowana kolorowymi ilustracjami, to przede wszystkim bajki narracyjne. Dwanaście z nich opowiada o chciwości, szlachetności, przyjaźni, kłamstwie i zaradności.

Bajkowy sezam I. Sikiryckiego otwiera bajka o krawcu Chucherce, pasjonacie malowania. Jest ona tak lekka i wartka, że wydaje się, iż autor pisał ją jednym tchem, nie odrywając pióra. Formę i treść ma wiosenną a więc odpowiednią do obecnej pory roku. Jej zwiewność i delikatność a zarazem porywający rytm, to zachęcające wprowadzenie do bajek „poważniejszych". Zaliczam do takich trzy bajki wyjaśniające czytelnikom genezę obiegowych zwrotów. Skąd wzięła się nazwa „chwalipięty", dlaczego najlepszym kucharzem jest głód i czemu szewc bez butów chodzi — nie każde dziecko wie. Dorośli też już z pewnością nie pamiętają. Autor przypomina o tym czytelnikom w zabawnych bajeczkach o rycerzu Chwalipięcie, szewcu-czarodzieju (z Ozorkowa) i najlepszym kucharzu króla jegomości. Pozostałe bajki zbiorku to pasjonująca wędrówka po krainie dobrego i złego. Dyskretnie oświetlając drogę, przewodnik prowadzi śmiało małego czytelnika z labiryntu zła w pogodny, przyjazny świat.

Z dziewięciu innych bajek na szczególną uwagę zasługują trzy: *„Podkowa", „Awantura w Przechwałkowie"* i *„Skarby żeglarza Florka".* „Awanturę w Przechwałkowie" polecałbym może nie tyle dzieciom, co ich rodzicom. Bardzo aktualne są słowa pisarza: *„Bo bez zgody nie ma w kraju ni pieśni, ni chleba"* — prorocze, bo zapewne książka powstawała w latach siedemdziesiątych. Bajka „Podkowa" — chyba najpiękniejsza, mówi o historii państwa polskiego. Jest najdłuższa i najbardziej kształcąca. Jej społeczne treści wychowawcze pozbawione są taniej dydaktyki, stąd łatwo trafia do wyobraźni młodego czytelnika. „Skarby żeglarza Florka" zamykają świat fantazji i bogatej, barwnej wyobraźni maksymą: *„Zapamiętaj, że od złota ważniejsza jest przyjaźń.* Tak mówi nie tylko rybak do Florka ale i autor do swojego czytelnika.

Bohaterami bajek są przeważnie ludzie, ale nie brak też takich, w których wszystkie wady i zalety ludzkiego charakteru przypisane są zwierzętom. Książka ta przypomina twórczość dla dzieci Tuwima. Brzechwy i Fredry — bajki są pięknie napisane, z równą klasykom tej literatury elegancją i poczuciem humoru. Żywy rytm, muzykalność utworów, ich pogodna treść, to zachęta do czytania. Łatwość przyswajania sobie tekstu — to przecież ćwiczenie pamięci — dzieci łatwo zapamiętane wierszyki recytują przez całe lata, często wówczas, kiedy o dzieciństwie już nie pamiętają. Stąd wierzę, że sięgną po nią nie tylko dzieci, znające twórczość Tuwima i Brzechwy, ale i rodzice. Jest to lektura, która wbrew niechęci współczesnych pedagogów i psychologów (również wydawców) wyzwala u dzieci najwięcej radości, wzbogaca je w nowe doznania emocjonalne i estetyczne. Wierszowana forma jest przy tym pierwszym wprowadzeniem do poezji, rozwija u dziecka wrażliwość, wyobraźnię i fantazję. Celowi temu służą również ilustracje — umiarkowanie współczesne, komponowane w jasnych, soczystych barwach, oparte często na kolorach kontrastowych. Dużo w nich czerwieni — ulubionego koloru dzieci. Jasny, klarowny język Sikiryckiego, pozbawiony naleciałości zwulgaryzowanej mowy potocznej, stanowi dodatkową zachętę do tego, aby książka ta znalazła się na półce w pokoju dziecięcym. Polecam ją Państwu jako klasykę literatury dziecięcej. Książkę — przyjaciela.

ANNA MAZERANT

PS. Książka u dzieci cieszy się ogromnym powodzeniem. W bibliotekach jest rozchwytywana — bezskutecznie próbowałam ją wypożyczyć.

Igor Sikirycki — „Moje bajki" — KAW, 1980, il. A. Bartczak, str. 123, nakł. 100 tys. egz. cena 50,— zł.

OPERA

wydarzenie

„MARIA STUART" to trzecia opera **Romualda Twardowskiego,** której prapremiera odbyła się na scenie łódzkiego Teatru Wielkiego. Nie musiała ona dowodzić znacznie wcześniej już przecież dowiedzionego faktu, że młody ten kompozytor jest twórcą bardzo utalentowanym. Dowiodła za to, iż talent ten ciągle się rozwija. „Maria Stuart" wydaje się być najdojrzalszym jego owocem, zawdzięczającym dojrzałość także konsekwencji artysty, który zainteresowawszy się niegdyś operą, pozostał jej wierny i swoją twórczością odpiera wszelkie na operę ataki oraz pozbawione racji i sensu twierdzenia o jej rzekomo bliskim już upadku.

„Maria Stuart", której zapis muzyczny zawiera wielką i zamkniętą wizję, jest utworem, który dopiero konkretyzując się na scenie, osiąga pełnię zamierzoną przez kompozytora. Kompozycja muzyczna jest tu jednym z elementów wielkiego dramatu; jej wielkość polega na tym, że wszystkie elementy teatru twórca zawarł w niej w sposób pozwalający na twierdzenie o ich organicznej w jego dziele spójności. Żaden z tych elementów nie mógłby istnieć samodzielnie i niezależnie, a wyeliminowanie któregokolwiek z nich pozbawiłby utwór nie tylko pełni artystycznego wyrazu, ale także sensu artystycznego istnienia. Muzyka bardzo wyraźnie łączy się tu z tekstem, dźwięk z barwą. Dzieło to wykroczyło poza schemat opery, jest dramatem muzycznym, którego twórca każdemu ze składających się na jego wizję tworzyw nadał równie wielkie i w równym stopniu decydujące o całości znaczenie.

„Maria Stuart" jest utworem pełnym i bogatym nie tylko mnogością niezbędnych dla jej właściwego wyrazu tworzyw, ale także różnorodnością odcieni, znaczeń i funkcji każdego z nich. Mimo tego bogactwa wizji kompozytora, wskazującego na głębie artystycznego przeżycia, z którego została zrodzona, „Maria Stuart" pozostaje dziełem szlachetnie skromnym. Jest to szlachetność, którą rodzi artystyczna dojrzałość Romualda Twardowskiego, a która akt kreacyjny sprowadziła do wyboru środków dla przekazania jego bogatej wizji najniezbędniejszych, do świadomej eliminacji elementów zdobniczych, czy nazbyt natrętnie przekładających ja na konkretny już język widowiska teatralnego.

Twardowski nie tylko doskonale opanował język muzyczny; równie biegle włada on złożonym i bardzo przecież trudnym językiem teatru. Jego „Maria Stuart" jest nie tylko operą o szkockiej królowej, ale także t e a t r a l n ą w y p o w i e d z i ą m u z y k a w trwającym już całe wieki sporze na jej temat, wypowiedzią artysty nie tylko świadomego swych racji, ale także doskonale znającego zasadę, zasięg i skuteczność oddziaływania wszystkich dostępnych teatrowi środków. Żadnego z tych środków, a więc i muzyki, nie używa Twardowski dla ich własnej urody wszystkimi przekazuje swoje własne przeżycie i to właśnie sprawia, że jego subiektywne odczucie z tak wielką siłą oddziałuje na odbiorców, iż poddają się oni tej wizji, gotowi przyjąć ją za własną.

Mówić o twórczości wizji kompozytora można, jak sądzę, jedynie poprzez analizę poszczególnych elementów jej scenicznej konkretyzacji, tę zaś zacząć wypada od wyboru tematu oraz kierunku i sposobu jego interpretacji.

Maria Stuart — nie słabnące zainteresowanie jej osobowością — inspirowała wielu twórców. Widziano w niej intrygantkę i — ofiarę intryg, wzór czystości i — przykład braku moralnych zasad, szlachetność i występek, kobietę uciśnioną i królową knującą spiski przeciw swej rywalce — Elżbiecie. Zawsze widziano Marię Stuart w splocie okoliczności politycznych, w sieci dworskich intryg i dynastycznych interesów, w meandrach zdarzeń otaczających ją zewsząd świata zewnętrznej rzeczywistości. Legenda inspirowała poetów, ci zaś jakby od nowa tworzyli bohaterkę I chyba właśnie dlatego nie skorzystał Twardowski z ich dzieł. Szukając prawdy, zwrócił się ku opracowaniom historycznym, a w nich znalazł przede wszystkim człowieka, kobietę, której kobiecość stała się źródłem jej przeżyć i nieszczęść.

To bardzo współczesne, egzystencjonalne widzenie bohaterki kazało Twardowskiemu swoją jej wizję przekazać równie współczesnym językiem muzycznym. Jego muzyka jest więc przede wszystkim asemantyczną muzyką emocjonalną, która niczego nie opowiada, a tym bardziej niczego nie ilustruje. Oddaje jedynie wewnętrzne nastroje bohaterki i klimat otaczającej ją rzeczywistości, narasta i gaśnie wraz z jej uczuciami. Ta muzyka płynie równolegle do zdarzeń dramatu i nigdy nie zagłusza ich swym brzmieniem. Pokazując dzisiejszemu odbiorcy kobietę tak nam w swych uczuciach bliską, kompozytor nie stosuje żadnej stylizacji, a nieco tylko archaizuje brzmienie w tych momentach, gdy dla usytuowania historycznego swej bohaterki pokazuje styl panujący w sztuce i obyczajach epoki, w mentalności ludzi tamtych czasów, a więc — gdy sekretarz królowej prezentuje napisany dla Marii sonet Ronsarda, gdy na dworskim balu tańczy się pawanę, gdy w starej kaplicy cicho brzmi łaciński psalm. Tylko w tych momentach używa kompozytor „klasycznych" brzmień i starych instrumentów (pięknie zresztą w spektaklu eksponowanych).

Pragnąc byśmy i my w identyczny sposób przeżyli historię Marii, Twardowski sam napisał libretto, konstruując je bardzo współczesnym językiem, bez zbędnych metafor i poetyckich porównań. Jest ono klasycznym przykładem dobrze pojętego komponentu nadrzędnej całości, jaką jest dramat muzyczny, podczas gdy samo w sobie nie stanowi samodzielnie istniejącego elementu o własnej wartości. Twardowski w nic nie każe nam przy tym wierzyć na słowo, nic zatem nie dzieje się za sceną, nikt niczego nie streszcza, wszystko, co istotne, rozgrywa się przed naszymi oczami. Słowo rozwija akcję i interpretuje zdarzenia, a po funkcję emocjonalną sięga tylko wtedy, gdy ta emocja i ekspresja niezbędna jest działającej na scenie postaci dla wyrażenia jej uczuć.

Twórcom i wykonawcom przedstawienia dzieło Twardowskiego, zrodzone z jego świetnej znajomości historii i psychiki ludzkiej, z pozoru jedynie (dzięki pełni, wyrazistości i plastyczności wpisanej w nie wizji) nie pozostawiło wielkiego pola do teatralnego popisu. Z pozoru — bowiem znaleźli oni miejsce i możliwość indywidualnej, osobistej wypowiedzi na obrany przez kompozytora temat.

Troską o precyzyjne brzmienie orkiestry, o to, by podkreślała ona uczucia działających na scenie postaci, by ich działaniom nadawała rytm i znaczenie, ożywił muzyczny obraz stworzony przez kompozytora świetnie prowadzący przedstawienie **Jerzy Salwarowski.**

Maria Foltyn, reżyserując przedstawienie uczyniła je czystym, klarownym widowiskiem, w którym każda z postaci wnosi na scenę swoją własną prawdę, rodzącą się z odmiennych racji, charakterów i temperamentów Nakreślony przez nią rysunek postaci i uwidaczniających się w poszczególnych scenach łączących je powiązań, wpływów i zależności, urzeka naturalną prostotą, oczywistością i prawdą psychologiczną.

O kształcie plastycznym nadanym kompozytorskiej wizji przez **Mariana Kołodzieja,** można powiedzieć, iż jest to dzieło godne odrębnej analizy, ale będąc dziełem indywidualnym świetnie przecież podporządkowuje się nadrzędnej, organizującej całość twórczej myśli artysty. Kostiumy nadają wykonawcom takie cechy indywidualne, jakie miały kreowane przez nich postacie.

Wśród wykonawców tego przedstawienia jedna tylko była królowa: Maria Stuart doprawdy wspaniała w znakomitej interpretacji **Teresy May-Czyżowskiej.** Wybitna ta śpiewaczka swą kreację wokalną wzbogaciła znakomitym aktorstwem. Duet z Bothwellem i wielka spowiedź w finale były arcydziełem wokalnej i dramatycznej sztuki Teresy May-Czyżowskiej, która partię Marii Stuart wpisać może na pierwsze miejsce długiej już przecież listy swych wielkich osiągnięć artystycznych.

I pozostałe role zasługiwałyby na szersze omówienie; tu podkreślę tylko czystość propozycji aktorskiej **Tadeusza Kopackiego,** głęboką, obok znakomitej interpretacji wokalnej, analizę psychologiczną postaci Bothwella **Zdzisława Krzywickiego,** szlachetną powściągliwość Moraya w interpretacji znakomitego wokalnie **Włodzimierza Zalewskiego,** lekkość, z jaką prowadził partię Rizzia **Jerzy Rynkiewicz,** precyzję wokalną i właściwy dobór aktorskich środków wyrazu **Władysława Malczewskiego** w partii Knoxa oraz ciekawe prowadzenie roli Mary przez **Stanisławę Szopińską.**

Chór winien popracować nieco nad dykcją, której to uwagi nie mogę tu nie uczynić, bo ma on do spełnienia rolę ważną dramaturgicznie.

„Maria Stuart" to wielkie wydarzenie artystyczne. Dziełu temu wróżę długi żywot, a wszystkim następnym scenom operowym, które sięgną po utwór Twardowskiego, życzę równie znakomitej jego realizacji.

EWA PANKIEWICZ

MAŁGORZATA GOLICKA
różdżkarze

Radiestezja — wiedza, czy sztuka? Jedni skłonni są uważać ją za wiedzę, ba, nawet za źródło wszelkiej wiedzy, dającej początek różnym dyscyplinom naukowym. Inni — wprost przeciwnie — za sztukę.

Siedzę w typowym mieszkaniu w blokach, na XI piętrze łódzkiego wieżowca. Moi rozmówcy — dwaj mężczyźni, około 30 pasjonują się radiostezją. Trafiłam do nich, po publicznym wystąpieniu jednego z nich na zebraniu założycielskim Polskiego Klubu Ekologicznego.

Rozmawiamy więc dalej.

— *Wiedza wymaga jednak potwierdzonych doświadczeń, uogólnień* — wtrącam. —

— Myśli pani w sposób typowy dla współczesnej nauki — zostaję skarcona. Metody naukowe stosowane w tym przypadku często nie przynoszą żadnych rezultatów. Dlatego właśnie radiestezja nie może być uważana za naukę. I całe szczęście. W tej dziedzinie niejednokrotnie trzeba pracować różnymi metodami. Dlaczego? Bo każde doświadczenie jest inne, wykonane w innych subtelnych warunkach. Poza tym radiestezją zajmują się ludzie o różnych zdolnościach i umiejętnościach.

A czyż nie jest paradoksem, iż to, co teraz próbujemy w Europie przy pomocy radiestezji udowodnić już dawno wykryto na Wschodzie? Wnioski jogów daleko wyprzedzają współczesną naukę. Te same wyniki dawno znały już tzw. ludy prymitywne. Na przykład — kontynuują moi gospodarze — w Kamerunie Murzyni potrafią zabezpieczać szałasy przed szkodliwym promieniowaniem Ziemi, a w Kenii szamani leczą raka. Lekarze amerykańscy skierowali tam swoich chorych i wyniki leczenia były pomyślne. W Europie kiedy nie potrafimy czegoś udowodnić, mówimy o podświadomości. Traktujemy ją jak jeden wielki worek do którego wpychamy wszystko co nieznane. A tymczasem byłoby lepiej w niektórych przypadkach mówić o nadświadomości, czyli o tym, co istnieje ponad rozumem. I tu należy szukać rozwiązań, w tym co jogowie nazywają iluminacją, pewnym prześwietleniem. Często na przykład padają pytania:

— *Skąd pan to wie?*

— Odpowiadam, po prostu wiem. Nie zawsze potrafimy odpowiedzieć skąd wiemy. Każdy musi dojść do tego własną pracą. Człowiek, który interesuje się zagadnieniami o których mówimy, dojdzie do tej wiedzy. Będzie się posuwał dwa kroki do przodu i trzy w tył, a wreszcie osiągnie swój cel.

— *A jaka była pańska droga?*

— Ja nie zaczynałem od radiestezji — słyszę w odpowiedzi — ale od filozofii jogi. Pewien wpływ miała także tradycja rodzinna. Mój wuj interesował się tymi zagadnieniami. Te książki — mój rozmówca wskazuje na półkę przy tapczanie — to właśnie spuścizna po nim. Później skontaktowałem się z pewnymi ludźmi, zająłem lekturą. Uważam, że radiestezja ma wiele wspólnego z jogą, z tym, że jest bardziej instrumentalna w pewnym zakresie działania niż joga.

— *Czy każdy może być radiestetą?*

— Nie, nie każdy. Może chce pani spróbować? Proszę wziąć różdżkę tak jak ja i iść w tym kierunku. Co pani czuje?

Trzymam metalową różdżkę kurczowo, idę krok za krokiem i czuję jak różdżka stawia mi opór. Robi się coraz cięższa i cięższa. W moich rękach odchyla się jednak minimalnie, podczas, gdy przed chwilą w rękach gospodarza wybijała się zdecydowanie w górę i w dół.

Ocenia się, że uzdolnienia do pracy z różdżką posiada około 15 proc. ludzi, a do pracy z wahadełkiem jeszcze więcej.

* * *

Możliwości działania radiestezji są nieomal nieograniczone, szczególnie w zakresie ochrony środowiska. Jeśli bowiem przyjmiemy, że człowiek funkcjonuje prawidłowo, bez zakłóceń w harmonijnym otoczeniu, przez które będziemy rozumieć nie tylko przyrodę, warunki mieszkaniowe, sposób ubierania się i odżywiania, ale także najbliższe otoczenie: rodzinę i miejsce pracy — wówczas okaże się, jak wiele czynników zakłóca to środowisko. Jak łatwo o dysharmonię, a w efekcie o zakłócenia organizmu i choroby. Właśnie radiestezja może pomóc w wykrywaniu tych zakłóceń.

Weźmy dla przykładu mieszkania, w których spędzamy co najmniej połowę doby. Właśnie w nich narażeni jesteśmy na niebezpieczeństwo przebywania w miejscu napromieniowanym. Wiązka głównego napromieniowania przechodzi od żyły wodnej pod ziemią pionowo w górę przybierając kształt odwróconego stożka. Im wyższe piętro, tym większe niebezpieczeństwo dla człowieka. Tym bardziej, że materiały budowlane, zbrojenia i sposób budowania bloków mogą potęgować szkodliwe działanie promieniowania.

Wiele dolegliwości, np. migreny, poranne zmęczenia, bezsenność, czy nieuzasadnione poddenerwowanie są często pierwszymi sygnałami, iż przebywamy za długo w miejscu napromieniowanym czyli w tzw. pasie zakłóceń. Szczególnie groźne są miejsca skrzyżowań co najmniej dwóch żył, jak również nałożenie się węzłów tzw. siatki szwajcarskiej na pasmo zakłóceń. Siatkę tworzą pasma energetyczne opasujące Ziemię w kierunku równoleżnikowym i południkowym tworząc kratownicę o wymiarach około 2×2,5 m. Dłuższe przebywanie w takiej strefie może stać się przyczyną wielu chorób łącznie z nowotworami.

Najlepszym sposobem zabezpieczenia się przed promieniowaniem jest po prostu jego unikanie, w czym znacznie może pomóc współpraca radiestetów z urbanistami. We Wrocławiu próby takiej współpracy udały się doskonale mimo licznych trudności. Okazało się jednak, że można zbudować osiedle w oparciu o wskazówki radiestetów. Sam pomysł korzystania z porad różdżkarzy znany był już i starożytnym Rzymianom, a do niedawna zasięgali ich opinii przed budową domu mieszkańcy niektórych rejonów Polski. I pomyśleć, że w Szwajcarii nie wybuduje się bez diagnozy różdżkarza żadnego szpitala, czy przedszkola!

Radiesteci mogą wskazywać napromieniowane tereny na planie urbanistycznym. Wówczas najbardziej zagrożone miejsca można przeznaczyć pod budowę np. budynków niemieszkalnych. Występują co prawda obszary, gdzie napromieniowanie jest minimalne np. w Południowej Polsce, w okolicach Łaby, Krościenka, ale terenów idealnie czystych, zupełnie pozbawionych promieniowania, nie znajdziemy.

Tereny aglomeracji łódzkiej są np. pokryte gęstą siatką żył wodnych, podobnie jak Wrocławskie. Jak jednak uchronić się od promieniowania w budynkach już zbudowanych, w mieszkaniach w których mieszkamy od lat i z których nie mamy się dokąd wyprowadzić? Tak drastyczne środki, zwłaszcza w sytuacji mieszkaniowej naszego kraju nie są jednak konieczne. Czasami, aby uniknąć skutków promieniowania wystarczy przesunąć łóżko czy tapczan na drugą stronę pokoju, aby znalazło się poza zasięgiem promieniowania. Doskonale chronią nas również tzw. naturalne odpromieniowywacze, czyli jak sama nazwa wskazuje, twory natury zabezpieczające przed promieniowaniem. Należą do nich, aż trudno uwierzyć, zwykłe polne kamienie i muszle.

— Proszę tylko zobaczyć. — Gospodarz demonstruje mi doświadczenie. W odległości 2 m od telewizora wahadełko wychyla się silnie, co świadczy o silnym wydzielaniu promieniowania. Jeśli więc w pobliżu telewizora stoi biurko lub tapczan przez wiele godzin narażeni jesteśmy na skutki tego promieniowania. Doświaczenie powtórzone w chwilę później, kiedy przy odbiorniku położyliśmy muszlę przebiega zupełnie inaczej. Już w odległości 0,5 m wahadełko pozostaje nieruchome.

Barierę ochronną tworzy także zwykły kawałek jadalnego chrzanu oraz niektóre rośliny, które wytwarzają w powietrzu przewagę ujemnych ładunków elektrycznych, tak korzystnych dla człowieka. Do tych życiodajnych roślin należą... bluszcze, paprocie, filodendrony i cisusy. Jednakże po pewnym czasie przebywania w takim napromieniowanym mieszkaniu roślina ginie, ratując domowników swoim kosztem.

Nie namawiamy jednak nikogo do eksperymentowania i samodzielnego zabezpieczania mieszkań przed promieniowaniem. Możemy co najwyżej położyć tuż przy telewizorze „szumiącą" muszlę lub doniczkę z paprocią. To wszystko. Inaczej możemy doprowadzić do poważnych zakłóceń promieniowania i energii. Jedyną osobą, która może prawidłowo odpromieniować mieszkanie jest radiestet. My sami, obserwujmy lepiej zwierzęta i ptaki. Potwierdzi się wówczas, że bociany i jaskółki nigdy nie uwiją gniazda na napromieniowanym terenie. Być może stąd wzięło się powiedzenie o szczęśliwym domu wybranym przez te ptaki, których mieszkańcy cieszyli się po prostu dobrym zdrowiem. Nasi ulubieńcy, psy domowe, nigdy nie położą się w miejscu, przez które przechodzą linie napromieniowania. Jeśli więc z uporem nie chcą spać w kącie, który przeznaczyliśmy dla nich na spoczynek, nie irytujmy się, tylko zaobserwujmy, które miejsca pies najchętniej wybiera. Jest ono na pewno bezpieczne i korzystne zarówno dla niego jak i dla nas. Ale uwaga! Koty, pszczoły i mrówki bardzo lubią napromieniowane miejsca. Podobno wydajność w ulach postawionych na terenie napromieniowanym wzrasta o około 30—40 procent.

Tyle o mieszkaniach. A co z pożywieniem? Dr Ostoja, Polak z pochodzenia, jeden z największych współczesnych jogów w Stanach Zjednoczonych twierdził, że ze względu na utrzymanie harmonii korzystnej dla człowieka, sposób odżywiania się jest niesłychanie ważny. Radiesteci są natomiast w stanie zbadać, czy dana potrawa jest dla nas wskazana czy nie.

Moi rozmówcy demonstrują mi to natychmiast. Sprawdzają przy pomocy wahadełka czy leżące na stole słodycze są odpowiednie dla obecnych w pokoju osób. W dwóch przypadkach wahadełko waha się od słodyczy w kierunku człowieka. W trzecim ruch wahadełka jest poprzeczny, co oznacza, że dla własnego dobra lepiej ze słodkości zrezygnować.

Według dr Ostoi należy uwolnić się od takich przyzwyczajeń jak sztywne godziny posiłków „niechaj głód będzie waszym przewodnikiem" — pisze dr Ostoja w jednej ze swoich broszur. Nie należy także jeść do syta, dietę zaś dobierać według indywidualnych upodobań. Jeśli więc nam jakaś potrawa smakuje, to jedzmy ją tak często, jak to jest możliwe, gdyż w ten sposób najlepiej dobieramy dla siebie najbardziej właściwe pożywienie. Znów spójrzmy na zwierzęta, a zwłaszcza psy, które przy chorobach pokarmowych szukają odpowiednich traw lub perzu.

Nie powinniśmy także spożywać rafinowanego cukru i warzonej soli, tylko kopalną. Wskazany jest miód z owocami, gotowane jarzyny. Tu uwaga: dr Ostoja zaleca jeden gatunek jarzyn podczas posiłku i jeden gatunek krochmalu. A więc jeśli chleb to nie ziemniaki.

Generalna zasada — posiłki trzeba dokładnie przeżuwać, nie spiesząc się, popijając kilkanaście minut po jedzeniu. W ten sposób pozwalamy działać sokom trawiennym, w tym, jak mówią jogowie, doskonale zharmonizowanym laboratorium jakim jest układ pokarmowy dany nam przez naturę.

W co się ubierać? Oczywiście ubrania z włókien naturalnych. Tworzywa sztuczne powodują wiele alergii, poza tym ładują nas dodatnio, a więc zakłócają wspomnianą już harmonię.

Za mało też przebywamy na łonie przyrody, podczas gdy tam właśnie znajdziemy zdrowie i ukojenie. Zauważmy, że zmęczony człowiek instynktownie opiera się o drzewo. Występuje wówczas wyrównanie biopola. Ładunki plusowe szkodliwe dla człowieka odpływają do ziemi, a drzewo przekazuje nam pozytywne ładunki minusowe. Dlatego też na osiedlach powinno być jak najwięcej zieleni. Lipy, kasztany, akacje i brzozy nie tylko cieszą wzrok, ale także wywierają dodatni wpływ na nasz organizm.

* * *

— **Czy światopogląd radiestety ma wpływ na wyniki jego pracy?** — pytam na zakończenie rozmowy.

Nikt nie będzie dobrym radiestetą, jeżeli nie będzie miał bliższego kontaktu z przyrodą. Światopogląd idealistyczny daje z kolei większe możliwości rozwoju osoby na pewnym etapie badań, np. jasnowidzenia, czyli odkrycia tego co przed nami jest jeszcze zakryte. Ojciec Klimuszko i nie tylko on, ostrzegali jednak, że jeśli ktoś stara się wykorzystać swoje właściwości jasnowidzenia dla szkodzenia innym, to te umiejętności mogą u takich jasnowidzów zanikać. Zło nie może czynić dobrego. Innymi słowy człowiek, który dochodzi do pewnego stopnia wtajemniczenia musi sam reprezentować wysoki poziom etyczno-moralny.

W Poznaniu istnieje Stowarzyszenie Różdżkarzy, w ramach którego działa Biuro Ekspertyz pracujące dla osób prywatnych i instytucji. Zgłaszają się tam m.in. chorzy z nadzieją że odpowiednie ustawienie łóżka i odpromieniowanie meszkania przyniesie im ulgę, przyszli właściciele domów, zamierzający kopać studnie i inni. Możliwości biura są bardzo skromne. Poszerzenie działalności stowarzyszenia na cały kraj pozwoli lepiej te potrzeby zaspokoić.

Można by rozmawiać jeszcze długo. Jutro kupuję paproć i przed telewizorem kładę muszlę.

Moi rozmówcy proszą, aby nie ujawnić ich nazwisk.

— Ważna jest radiestezja, nie my! — mówią. — Nieprawdaż?

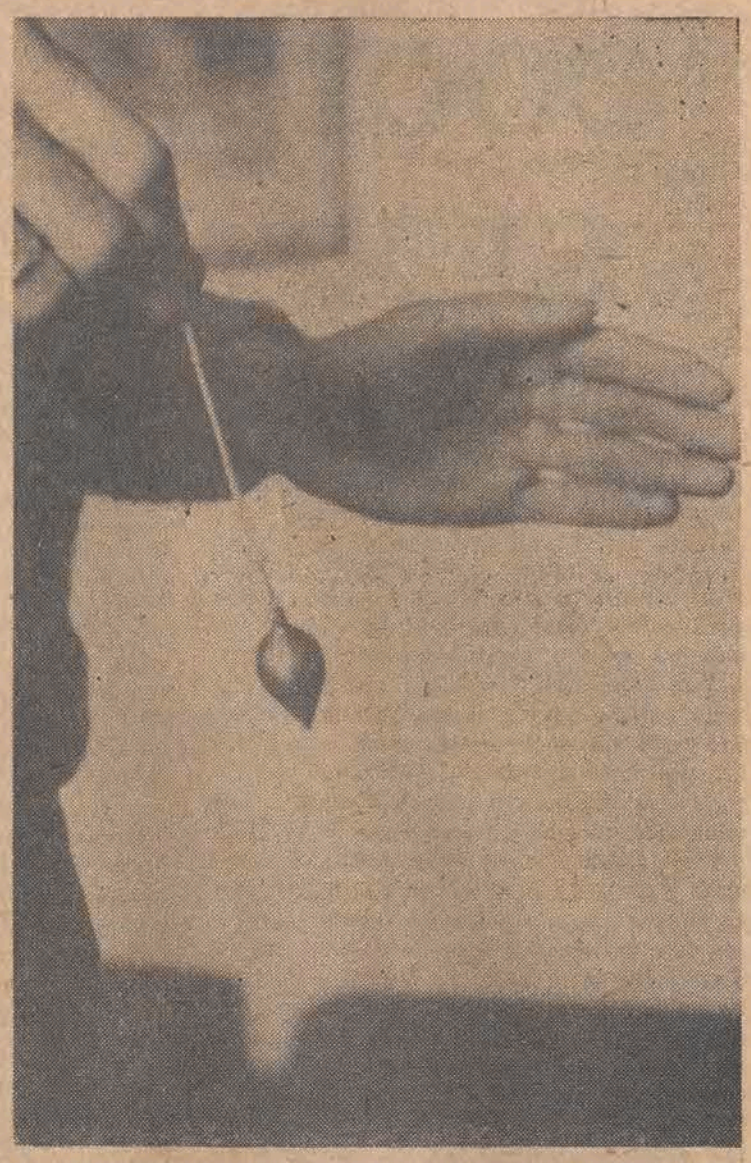

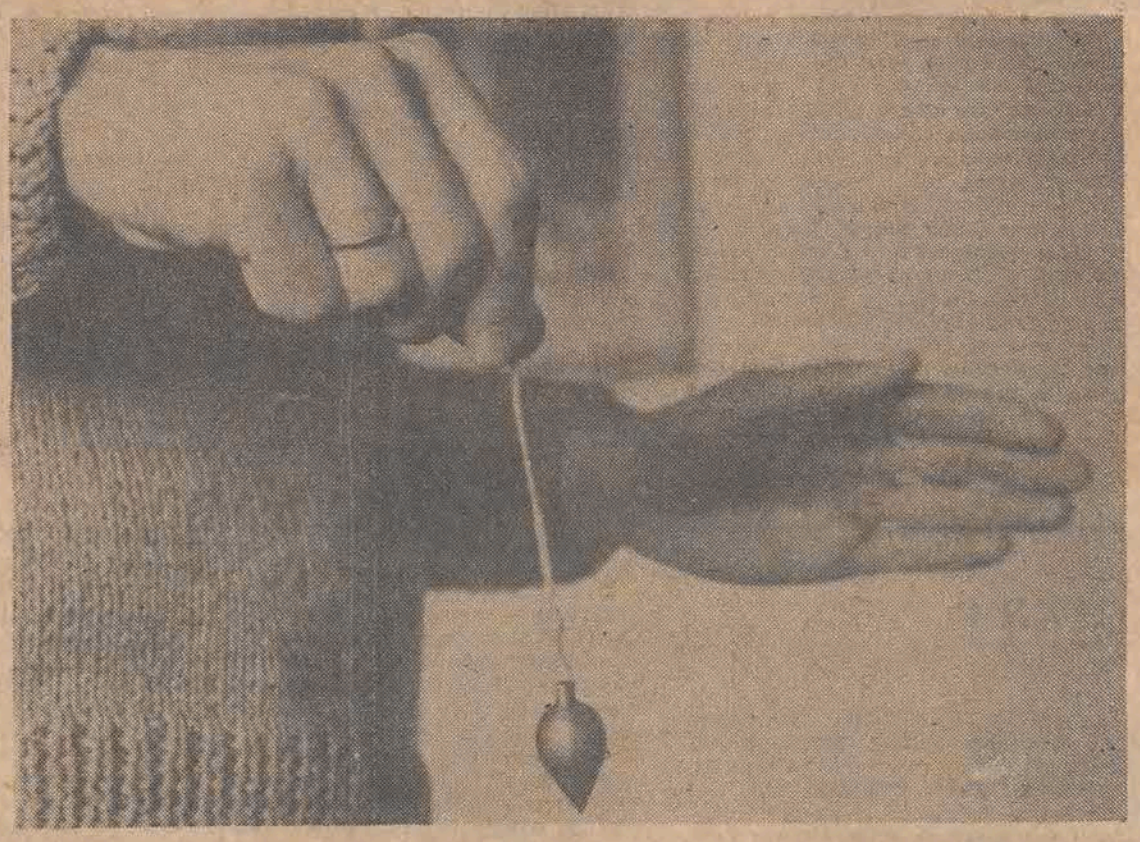

Foto: R. Łucyszyn

W INTENCJI 6 OBRONY PRAW MEGO KRAJU

HENRYK NAKIELSKI

W roku 1979 *„sprawa Petrysa"* ożyła na nowo. Pod adresem wielu znanych lekarzy, pracowników nauki, posłów na Sejm, zaczynają nadchodzić skargi — pokaźnych rozmiarów elaboraty, adresowane przez *Katarzynę Petrys* — matkę *Tibora* i jego teścia *Alfonsa Wieczorka*. Powołując się na swoją kombatancką przeszłość oboje apelują do sumienia adresatów.

„Nie możemy pogodzić się — piszą — *aby skazanie naszego syna wyrokami bazującymi na urojeniach paranoicznych rzucało ujemne światło na naszą rodzinę, na nasze dzieci, wnuki i prawnuki".*

Odezwy zawierają zarzuty mocne, obelżywe. Profesor, który większą część czasu spędza teraz w zaciszu swego gabinetu na Politechnice, na razie nic o tym nie wie. O całej sprawie dowiaduje się dopiero pod koniec stycznia 1980 roku z listu dr. Andrzeja Reymana (dosłownie):

„Z ogromną przykrością — pisze *A. Reyman — zmuszony jestem donieść, że Tibor Petrys znowu zniesławił publicznie Pana Profesora, mianowicie przez skierowanie do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie pisma dotkliwie znieważającego Pana Profesora, w którym podał m.in.:*

Reymanowie zaindukowali paranoicznie J. Groszkowskiego, który na bazie wysokiego wówczas stanowiska załatwił na bazie chociażby rozmów z przedstawicielami wymiaru sprawiedliwości PRL uchylenie wyroku, a nawet skazanie mnie za rzekome znieważenie jego osoby.

Problem paranoi wiele osobistości dostrzegało, w obawie jednak przed J. Groszkowskim, aby nie stracić swego stanowiska, aby nie być przedmiotem ataków psychopaty i jego indukantów, woleli podjąć działania na moją niekorzyść.

— Zaznałem więc całego łańcuchu krzywd moralnych, których z pewnością nie zaznałbym, gdybym miał protektora względnie wujka na stanowisku wyższym od J. Groszkowskiego, względnie w KC PZPR.

— Jestem przekonany, że nadejdzie czas, gdy zakończą się czasy J Groszkowskiego oraz innych zaindukowanych przez psychopatę Reymana.

— Faktem jest, że sprawa Reymana i J. Groszkowskiego weszła do historii psychiatrii i można spodziewać się, że nadejdzie czas, gdy o sprawie tej będą pisać podręczniki psychiatrii.

Do powyższego pisma dołączył Petrys jako dowody procesowe „Odezwę do psychiatrów polskich" i list otwarty „do posłów i uczonych" autorstwa swej matki i teścia, brutalnie znieważające Pana Profesora i naszą rodzinę oraz żądające rehabilitacji prześladowań ze strony Pana Profesora i naszej rodziny".

Do listu dołączona jest kopia pisma procesowego *T. Petrysa* i wymienione wyżej odezwy. 29 stycznia Profesor kieruje na ręce premiera pismo, w którym przedstawia całą sprawę.

„Jako przewodniczący Komitetu Nagród Państwowych — pisze w zakończeniu — *odznaczony Orderem Budowniczego Polski Ludowej mam prawo oczekiwać, że władze państwowe wystąpią z urzędu w mojej obronie. (...) Zwracam się do Obywatela Premiera, z ramienia którego działa Komitet Nagród Państwowych z uprzejmą prośbą o zajęcie stanowiska w stosunku do mojej osoby. Będę je uważał za votum zaufania, które uwarunkuje możliwość dalszego pełnienia przeze mnie funkcji przewodniczącego Komitetu, funkcji wymagającej odpowiedniego autorytetu".*

List dociera do adresata w najmniej odpowiednim momencie. Są ostatnie dni przed VIII Zjazdem partii, jak się potem okaże, ostatnie dni przed zmianą na stanowisku szefa rządu. W związku z tą zmianą Profesor ponawia swoją prośbę w liście skierowanym do nowego premiera — *Edwarda Babiucha*. W odpowiedzi otrzymuje pismo dyrektora gabinetu premiera zawierające jednozdaniową informację:

„Uprzejmie informuję, że pismo Obywatela Profesora z dnia 19 lutego przekazane zostało, zgodnie z poleceniem prezesa Rady Ministrów, do Prokuratury Generalnej PRL".

List nosi datę 11 marca. Profesor nie znajdując w nim odpowiedzi na jednoznacznie postawione pytanie, pisze do dyrektora gabinetu premiera:

„Ze sposobu załatwienia przez Obywatela Prezesa R.M. moich pism, w których (...) prosiłem Obywatela Premiera o ustosunkowanie się do mojej sprawy ze względu na moją funkcję przewodniczącego Komitetu Nagród Państwowych przy Prezesie Rady Ministrów, wyciągam wniosek, iż do czasu wyjaśnienia przez właściwe do tego organa mojej sprawy, od dawna znanej naczelnym władzom, powinienem powstrzymać się od jakichkolwiek działań w Komitecie Nagród Państwowych Jasne jest bowiem dla mnie, że na żadnym z członków Komitetu, a zwłaszcza na jego przewodniczącym nie może ciążyć zarzut nieetycznego postępowania, jaki mi został postawiony".

Jeszcze tego samego dnia Profesor decyduje się wysłać, cytowany w pierwszym odcinku tego artykułu, list do członków Prezydium Komitetu Nagród Państwowych zawiadamiający o decyzji zawieszenia pełnienia funkcji przewodniczącego Komitetu. O stanowisku członków Prezydium Komitetu pisałem już poprzednio, pozwolę więc sobie tylko przytoczyć jeszcze list prof. *Jerzego Bukowskiego* przesłany na ręce Profesora 25 marca.

„Wielki smutek obudził we mnie — pisze prof. *Bukowski — pański list do Członków Prezydium Komitetu Nagród Państwowych datowany 20 bm. Petrys próbuje znów podnieść głowę. Tym razem działają jego matka i ojczym. Otrzymałem od nich przed paru, a może kilku miesiącami, szeroko kolportowaną „skargę", której zwrotu odnajduję w cytowanym liście Pana Profesora. Po krótkim namyśle postanowiłem powstrzymać się od zareagowania na pismo Petrysów. Każda, nawet najbardziej dezaprobująca forma odpowiedzi byłaby dla ludzi identyfikujących się moralnie z Tiborem Petrysem formą satysfakcji, na którą nie zasługują. Wiem, że nie względy osobiste urażonej miłości własnej kierują pańskim postępowaniem, Panie Profesorze. Boli Pana trudna do podjęcia niewydolność Władzy Państwowej w przeciwstawianiu się szczególnie deprawującym przykładom antyspołecznych postaw i zachowań: dla zwalczania zła niezbędnym jest stały zbiorowy wysiłek; szeroka dezaprobata społeczna. Spalanie najbardziej wartościowych jednostek w walce nie przynosi wspólmiernych korzyści".*

„Władza Państwowa" odezwała się 16 kwietnia informując Profesora, pismem Prokuratora Rejonowego dla Dzielnicy Warszawa-Śródmieście o tym, że:

„...w Prokuraturze Rejonowej dla Dzielnicy Warszawa-Śródmieście zostało wszczęte postępowanie przygotowawcze w związku z treścią odpowiedzi Tibora Petrysa (...) zawierającą elementy popełnienia przestępstwa (podkreślenie — H.N.) *znieważenia Obywatela jako b. Zastępcy Przewodniczącego Rady Państwa PRL. Jednocześnie proszę Obywatela Profesora o złożenie zeznań w tej sprawie w dniu 21.IV.1980 r. w pokoju nr 57 w tutejszej Prokuraturze".*

Pismo to rozpoczyna kilkumiesięczną korespondencję Profesora z organami prokuratury i wymiaru sprawiedliwości. Odzwierciedla ona najlepiej przebieg sprawy, dlatego ograniczę się do przytoczenia fragmentów kolejnych pism, w porządku chronologicznym, bez zbędnego, moim zdaniem, komentarza. 21.IV.1980 r. Profesor do Prokuratora Rejonowego:

„Niektóre sformułowania pisma Obywatela Prokuratora, ranga postępowania przygotowawczego i Prokuratury, która je prowadzi, nieobjęcie dochodzeniem Alfonsa Wieczorka i Katarzyny Petrys, których paszkwile Petrys wykorzystał jako „dowody procesowe" oraz fakt, iż pierwszą czynność — to jest przesłuchanie mnie — podejmie Prokuratura w 15 miesięcy od rozesłania paszkwili, a w dwa miesiące po nakazaniu dochodzenia przez Premiera, przekonuje mnie, iż dochodzenie prowadzone przez Obywatela Prokuratora będzie żmudne i długotrwałe.

Chcąc ułatwić Obywatelowi Prokuratorowi jego zdania, skierowałem — przed upływem terminu przedawnienia — przeciw trójce paszkwilantów do sądu prywatny akt oskarżenia o zniesławienie i obrazę, którego kopię pozwalam sobie załączyć. (...) Mam nadzieję, że Obywatel Prokurator znajdzie w mym akcie oskarżenia wszystkie potrzebne dane i wobec tego, iż zniesławienie dokonane zostało na piśmie, oszczędzi mi niepotrzebnych i niewskazanych ze względu na stan mego zdrowia kontaktów z Prokuraturą (...) Jako pokrzywdzony (...) wnoszę o przeprowadzenie dowodów od 1—14 z akt zawnioskowanych przeze mnie w załączonym akcie oskarżenia. Wykaz dowodów:

1. akta procesu przed Sądem Powiatowym dla m. Krakowa z oskarżenia T. Petrysa przeciw A. Hankus o zniesławienie,

2. akta procesu przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie z oskarżenia Prokuratury Generalnej przeciw T. Petrysowi o zniesławienie Rady Państwa i o posłużenie się fałszywą opinią,

3. akta procesu przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie z powództwa A. Reymana przeciw T. Petrysowi i in. o naruszenie czci,

4. akta procesu przed Sądem Powiatowym w Bielsku z oskarżenia prokuratury przeciw T. Petrysowi o oszustwa podatkowe,

5. notatka służbowa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z dnia 11 stycznia 1975 r. z informacjami o przestępstwach T. Petrysa,

6. notatka służbowa NIK z informacjami o przestępczej działalności T. Petrysa w Polsce,

7. akta postępowań o nielegalny przewóz dewiz i towarów przez T. Petrysa przez granicę, o których wspomina notatka MSW,

8. akta postępowania przeciw T. Petrysowi o nielegalne posługiwanie się samochodowymi numerami rejestracyjnymi zastrzeżonymi dla pracowników dyplomatycznych,

9. akta postępowania karno-skarbowego przeciw T. i F. Petrysom w związku z przewozem 619 sztuk złotych monet przez granicę,

10. akta osobowe T. Petrysa z Centralnego Laboratorium Przemysłu Obuwniczego w Krakowie,

11. akta postępowania przeciw Mazgajowni, Sarnowskiemu, Kwapniewskiemu i Jodce przed Sądem Koleżeńskim przy Polskiej Akademii Nauk o wydanie fałszywej opinii na rzecz T. Petrysa,

12. akta postępowania przeciw Katarzynie Petrys w Prokuraturze Generalnej o podrobienie podpisu i wyłudzenie z banku pieniędzy za pomocą sfałszowanego upoważnienia,

13. akta postępowania przed Sądem Rejonowym w Krakowie-Śródmieściu przeciw T. Petrysowi i in. o odszkodowanie za straty materialne spowodowane przestępstwami,

14. przesłuchanie świadka red. Andrzeja Wrazidły z „Trybuny Robotniczej" w Katowicach.

12.V.1980 r. Profesor do Prezesa Sądu Rejonowego:

„Dnia 21 kwietnia 1980 r. wniosłem do Sądu Rejonowego m. st. Warszawy prywatny akt oskarżenia o zniesławienie mnie i obrazę przeciwko Tiborowi Petrysowi, Alfonsowi Wieczorkowi i Katarzynie Petrys. Dnia 10 maja delegowana przeze mnie osoba stwierdziła, że sprawa ta — wbrew przepisom — nie została wpisana do repertorium spraw karnych i nie otrzymała sygnatury (...) W związku z powyższym proszę Obywatela Prezesa o wydanie polecenia nadania mojej sprawie sygnatury".

16.V.1980 r. Profesor do Prokuratora Rejonowego:

„W nawiązaniu do mego pisma z dnia 21 kwietnia proszę uprzejmie Obywatela Prokuratora o wydanie postanowienia co do dopuszczenia (...) dowodów, jakie są wymienione na str. 2 i 3 aktu oskarżenia, dołączającego do w/w pisma".

28. V. 1980 r. Profesor do Prokuratora Generalnego PRL:

„Dnia 16 kwietnia 1980 r. zostałem powiadomiony przez Prokuratora Rejonowego Dzielnicy Warszawa-Śródmieście, iż wszczął postępowanie przygotowawcze w związku z treścią pisma T. Petrysa. (...) Poza wezwaniem mnie do złożenia zeznań w tej sprawie prokuratura nie tylko nie przedsięwzięła żadnych kroków śledczych, nie tylko nie objęła śledztwem Katarzyny Petrys i Alfonsa Wieczorka, autorów wymierzonych we mnie paszkwili kolportowanych od 16 miesięcy w Polsce, nie tylko nie podjęła żadnych kroków zapobiegawczych (...), ale uchyla się do przeprowadzenia zawnioskowanych przeze mnie dowodów różnych przestępstw Petrysa w Polsce."

28. V. 1980 r. Profesor do ministra sprawiedliwości PRL:

„Dnia 21 kwietnia 1980 r. skierowałem do Sądu Rejonowego dla m. st. Warszawy prywatny akt oskarżenia (...) Wbrew obowiązującym przepisom, wniesiony przeze mnie akt oskarżenia nie został zarejestrowany w repertorium spraw karnych i nie otrzymał sygnatury. (...) 12 maja zwróciłem się w tej sprawie do prezesa Sądu Rejonowego (...) ale do dnia dzisiejszego nie dostałem żadnej odpowiedzi".

10.VI.1980 r. Profesor do prof. dr Jerzego Bafii:

„W dniu 28 maja skierowałem do Obywatela Profesora jako Ministra Sprawiedliwości PRL skargę na niezarejestrowanie przez Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy prywatnego aktu oskarżenia o zniesławienie i obrazę przeciw parokrotnie karanemu przestępcy Tiborowi Petrysowi i o nadanie tej sprawie sygnatury (..) Dotąd nie otrzymałem odpowiedzi od Obywatela choć przedmiotem skargi są poważne nadużycia podległych Obywatelowi organów".

10.VI.1980 r. Profesor do doc. dr Lucjana Czubińskiego:

„W dniu 28 maja skierowałem do Obywatela Docenta jako Prokuratora Generalnego PRL skargę na niedopuszczenie obciążających Tibora Petrysa dowodów w postępowaniu z oskarżenia Prokuratury Rejonowej (...) dotąd nie otrzymałem odpowiedzi od Obywatela".

10.VI.1980 r. Prokuratura Rejonowa do Profesora:

„Tadeusz Gonciarz, podprokurator Prokuratury Rejonowej dla Dzielnicy Warszawa-Śródmieście, po rozpoznaniu wniosku zgłoszonego (...) przez pokrzywdzonego prof. dr Janusza Groszkowskiego (...) o dokonanie w toku śledztwa czynności przez dopuszczenie następujących dowodów (...) postanowił (...) wniosków powyższych nie uwzględniać. Uzasadnienie: — Przedmiotem śledztwa (...) jest znieważenie przez Tibora Petrysa w grudniu 1979 r. naczelnego organu PRL w osobie prof. dr Janusza Groszkowskiego — byłego z-cy Przewodniczącego Rady Państwa. Dla udowodnienia popełnienia powyższego przestępstwa (...) wystarczające są stwierdzenia zawarte w treści odpowiedzi na pozew, skierowanej przez Tibora Petrysa do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie (...) w dniu 12 grudnia 1979 r. W tych warunkach nie zachodzi potrzeba przeprowadzenia dodatkowych dowodów co do przedmiotu przestępstwa".

16.VI. 1980 r. minister sprawiedliwości do Profesora:

— „...uprzejmie informuję, że sprawą zainteresowałem się osobiście i ustaliłem, że sprawie obecnie nadano właściwy bieg, a opóźnienie w zarejestrowaniu aktu oskarżenia zostało spowodowane informacją o zamierzonym objęciu przez prokuraturę ścigania czynu T. Petrysa, A. Wieczorka i K. Petrys skargą publiczną".

19.VI.1980 r. Prokurator Generalny do Profesora:

„...zainteresowałem się sprawą i zostałem poinformowany, że w dniu 10 czerwca br. prokurator prowadzący postępowanie zgodnie ze swoim uprawnieniem rozstrzygnął wniosek dowodowy i powiadomił Obywatela Profesora o sposobie rozstrzygnięcia".

1.VII.1980 r. Profesor do Prokuratora Generalnego:

„...występując jako pokrzywdzony, wnoszę o uchylenie w trybie nadzoru — postanowienia prokuratora rejonowego (...) odmawiającego dopuszczenie wszystkich zgłoszonych przeze mnie i obciążających Tibora Petrysa dowodów (...) Wniosek motywuję następująco. Warunkiem, od którego zależało wniesienie aktu oskarżenia o zniesławienie i obrazę jest ustalenie, że zarzuty paszkwilu Petrysa są niezgodne z prawdą (...) do czego są niezbędne zawnioskowane przeze mnie dowody".

9.VII 1980 r. Profesor do Sejmowej Komisji Wymiaru Sprawiedliwości:

„...uważam za wskazane poinformować, że w sposobie prowadzenia sprawy Petrysa przez sąd i prokuraturę nic się dotąd nie zmieniło. Sąd nie podejmuje żadnych czynności w związku ze złożonym przeze mnie prywatnym aktem oskarżenia, a prokuratura nie dopuściła obciążających przestępcę dowodów, w tym akt spraw karnych, zakończonych trzema skazującymi go wyrokami (..) próba niedopuszczenia przez prokuratora akt sprawy o poprzednie znieważenie mnie (...) jest zamiarem uchronienia Petrysa przed udowodnieniem mu rażącego i uporczywego naruszania polskiego porządku prawnego".

17.VII.1980 r. Profesor do Sądu Rejonowego:

„W związku z upływem około czterech miesięcy od daty wniesienia aktu oskarżenia w powołanej wyżej sprawie karnej wnoszę o wyznaczenie rozprawy. Z treści pisma, jakie otrzymałem od Prokuratury Rejonowej wynika, że nie prowadzi ona żadnego śledztwa przeciwko oskarżonym Alfonsowi Wieczorkowi i Katarzynie Petrys. Wątpliwe jest również czy wniesie akt oskarżenia przeciwko T. Petrysowi. W tym stanie rzeczy dalsza zwłoka w rozpoznawaniu wniesionego aktu oskarżenia nie ma żadnych podstaw i rozprawa powinna być wyznaczona".

19.VII.1980 r. Prokurator Generalny do Profesora:

„...uprzejmie informuję, że po zbadaniu w trybie nadzoru sprawy dot. T. Petrysa, prokurator prowadzący postępowanie przygotowawcze otrzymał polecenie ponownego rozważenia kwestii potrzeby przeprowadzenia zawnioskowanych przez Obywatela Profesora dowodów".

19.VII.1980 r. Prokuratura Rejonowa do Profesora:

„Tadeusz Gonciarz, podprokurator Prokuratury Rejonowej dla Dzielnicy Warszawa-Śródmieście, po ponownym rozpatrzeniu wniosku zgłoszonego (...) przez pokrzywdzonego prof. dr Janusza Groszkowskiego (...) postanowił: — dopuścić następujące (...) dowody (wymienionych jest 8 z 14 zawnioskowanych przez Profesora, tzn. 1, 2, 3, 4, 9, 10, 11, 13 — dop. H.N.). Uzasadnienie: (...) Po przedstawieniu zarzutu Tiborowi Petrysowi, należało przyjąć, że w obecnym stadium postępowania przygotowawczego zawnioskowane, a wymienione w pkt. 1—8 niniejszego postępowania dowody mogą mieć znaczenie dla toczącego się śledztwa".

Przerwijmy na razie ten potok korespondencji. W czasie, gdy Profesor toczy papierkową batalię z organami prokuratury i wymiaru sprawiedliwości, przed Sądem Rejonowym dla Krakowa rozpoczyna się proces na tyle interesujący, że *„Życie Literackie"* decyduje się poświęcić mu całą kolumnę.

(c.d.n.)

WOLNOŚĆ JAKO PRAWO DO PLUCIA

Na wstępie muszę Czytelników przeprosić za przydługi cytat. Oraz za bezprzykładną treść jaką zawiera, ale bez tego cytatu wszystko co później napiszę byłoby zbyt gołosłowne. Oto fragment z dodatku humorystycznego studenckiego pisma, na temat jednego z polskich reżyserów:

„Kurdupel-Korniszon ze Śląska czyli połączenie przytomności z naiwnością. Od ćwierć wieku wmawia wszystkim swój wymyślony życiorys proletariacki. W ramach odnowy opracowuje wariant bardziej seksualny. Ale i tak co od niego wyższe — a więc prawie wszystko, łącznie z bernardynami — atakuje niezależnie od sytuacji.

K.K. — orator z bożej łaski, lubi występować publicznie bez kartki i jak coś palnie — zwłaszcza jeśli sam tego nie rozumie — włos jeży się naprawdę. Autor tzw. tryptyku religijnego o Śląsku — gdyby nie zamiłowanie do zamtuzów byłby zapewne duchownym.

K.K. — dla K. Zanussiego zielona małpa co przedwczoraj zeszła ze świerku. Dla A. Wajdy — Murzyn z okresu pierwocin. Zapewne mitoman erotyczny. Lubi deprawować dziewice, zwłaszcza ładne, choć bardziej gawędziarz seksualny aniżeli empiryk. Paternalista i wdzięczny obiekt dla Freuda, jako że jedyną rzeczą, nad którą ubolewa jest to, że nie może rodzić.

K. K. — urodzony lingwista o najwyższym standardzie komunikatywności — używa wyłącznie czterech słów na h, d, p i k. Stąd żal, że jak dotąd nie wykorzystany jako pedagog. Potencjalny twórca radykalnie uproszczonego esperanto, które można by narzucić światu.

K.K. — ślepowron indiancrów ze Śląska, ich bajarz i mistyfikator, któremu mało trzech powstań śląskich. Aktualnie zmienia front ideologiczny, przechodzi z pozycji alkoholika na pozycję antyalkoholika. Pierdoła."

To nie ponury dowcip, który się może przyśnić. To autentyczny tekst opublikowany w studenckim magazynie. Dokonałem w nim tylko jednego zabiegu — usunąłem pięciokrotnie powtórzone nazwisko artysty, choć i tak większość czytelników wie o kogo chodzi.

Cytowany powyżej tekst nie jest ani satyrą, ani żartem — jest głupią napaścią. Nie napisano tego nawet żółcią — po prostu wydrapano kastetem.

Ludzie kochani! Czy odnowa i wolność słowa mają polegać na tym właśnie co proponują swoim młodym czytelnikom stare wygi redakcyjne nie umiejące posłużyć się drwiną, złośliwością i ironią?

Żeby była jasność: reżysera K.K. ani nie znam osobiście, ani nie uważam go za genialnego twórcę. Zrealizował istotnie trzy dobre widowiskowe filmy i parę złych. Tylko co to ma do rzeczy — czyli do obrzucania człowieka wyzwiskami?

Rozumiem doskonale, że może komuś doskwierać obłudna elegancja pseudopolemik i lekkostrawna satyra minionych lat. Ale dziennikarz dlatego nazywa się człowiekiem pióra, że — przynajmniej w założeniu — potrafi posługiwać się piórem. Jeśli ktoś tego nie umie, albo zapomniał, niech zmieni zawód, lub redaguje „tadżypao", gdzie wszystko wolno.

Otóż uważam, że w normalnej gazecie paru rzeczy nie wolno, bez względu na zakres wolności słowa, odnowę i nową ustawę o cenzurze. Nie wolno mianowicie nikogo obrażać, i nikim pomiatać.

Może być też K.K. miernym artystą i można to napisać w sposób ostry, złośliwy i pełen jadu. Ale przecież w cytowanym wyżej tekście nie ma ani złośliwości ani jadu. Autor tego po prostu nie potrafi. Umie natomiast bić i to w ciemnej bramie, ponieważ nawet się pod tekstem nie podpisał.

Nie chcę, ani nie mam ochoty dochodzić motywów tego tekstu. Wyglądają mi na prywatne i to nadaje im szczególnej obrzydliwości. Chcę tylko zwrócić uwagę na zjawisko zatracenia umiaru w pisaniu, gdy większość hamulców została odblokowana. Człowiek inteligentny szuka wówczas takich form, aby słowo miało swój walor i dotkliwość bez uciekania się do wrzasku. Człowiek nieco mniej inteligentny, zaczadzony wolnością taką jak on ją rozumie — toczy pianę z ust i wyje.

W roku 1945, kiedy wreszcie Polakom wolno było iść do kina, a słowo demokracja odmieniano równie często jak dziś odnowa — widziałem w łódzkim kinie taką scenę. Oto mój kilkunastoletni rówieśnik demonstracyjnie popluwał na dywan w poczekalni. Na zwróconą przez bileterkę uwagę odparł: „A co? Przecież jest teraz wolność i demokracja!"

Wiem, że chodzi tu o pewien margines umysłowy, ale on jednak nadal istnieje: wolność i demokracja jako prawo do plucia. Na dywan, albo komuś w twarz.

WIDOK

ŻYCIE NA GORĄCO

„Życie i Nowoczesność" opublikowało „Uniwersalny kod przemówień". Składa się on z 4 rubryk, podzielonych na 10 pozycji. Zabawa polega na tym, że kolejno łączy się fragment zdania z poszczególnych rubryk z dowolnie wybranymi fragmentami zawartymi w poszczególnych pozycjach. Na przykład (w nawiasach kolejne numery rubryk i pozycji):

„Koleżanki i koledzy (I, 1) aktualna struktura organizacji (II, 4) umożliwia w większym stopniu tworzenie (III, 7) form oddziaływania (IV, 10)".

Jest to zdanie, które nic nie znaczy i może znaczyć wszystko. Takie zdanie może się znaleźć w każdym przemówieniu, jako ozdobnik, „woda", „wata", a w każdym razie coś takiego, co nic nie znaczy, a „ładnie brzmi".

Inny przykład:

„Praktyka dnia codziennego dowodzi że (I, 6), konsultacja z szerokim aktywem (II. 9) spełnia istotną rolę w kształtowaniu (III, 2) modelu rozwoju (IV, 9)".

I tak można w nieskończoność. „ŻiN" zapewnia, że istnieje w opublikowanym tekście 10 000 kombinacji i wystarczy to na 40 godzin przemówienia. Jak się nie ma nic do powiedzenia, a chce się przemawiać, to wystarczy wziąć sobie do ręki tabelkę wyciętą z warszawskiej gazety i uzupełniając niektóre zdania, wzbogacając je o aktualia, albo „uterenowiając" można sobie poprzemawiać i tak skutku to nie będzie miało żadnego.

„Uniwersalny kod przemówień" mógł jednak powstać tylko u nas i to w okresie „propagandy sukcesu", kiedy słowa nic nie znaczyły a trzeba było je używać. Zresztą i dziś tu i ówdzie znajduje wspaniałe zastosowanie. **„Wyższe założenia ideowe, a także (I, 10) stały wzrost ilości i zakres naszej aktywności (II, 3) spełnia istotną rolę w kształtowaniu (III, 2) nowych „Propozycji" (IV, 5)".** No i proszę bardzo, tylko słowo propozycje wziąłem w cudzysłów i dodałem dużą literę a „jak ulał" pasuje do tego felietonu, chociaż zupełnie nic nie znaczy.

Piszę o tym nie dlatego, żeby zaproponować Czytelnikom zabawę w układanie nic nie znaczących przemówień. Przeciwnie Czasy są nie po temu. Piszę o tym dlatego, że ta niewinna zabawa jest tylko symptomem groźnego zjawiska. Można to nazwać alienacją, wyobcowaniem, atomizacją. Jak kto chce. Istota tego zjawiska polega wszakże na tym, iż w życiu naszym następuje jakby zamykanie się instytucji, wyodrębnianie się ich z życia, zrywanie więzów z rzeczywistością, życie do wewnątrz, dla własnych potrzeb i sprawozdawczości. Jest to działanie w górę, tylko i wyłącznie dla uzyskania zwierzchności, bo to uznanie daje instytucjom i ludziom niezbędne środki do istnienia.

Nastąpiło u nas coś, co można nazwać oderwaniem formy od treści. Na przykład: poczta. Podejrzewam, że gdybyśmy zaprzestali wpłacać różne pieniądze na poczcie, nadawać paczki, listy, telegramy, to poczta długo jeszcze pracowałaby „normalnie", nie orientując się, że coś się na zewnątrz stało, że zerwane zostały jej więzi z rzeczywistością. Do urzędów nadrzędnych szłyby nieprzerwanie sprawozdania. Proszę bowiem zwrócić uwagę na niezwykle istotny fakt: różne instytucje cierpią jakby na tym, że mają związki z życiem, że są komuś potrzebne. Im to przeszkadza. Szkoła świetnie obeszłaby się bez uczniów ośrodki zdrowia bez pacjentów, sklepy bez klientów, urzędy bez petentów. Klient przeszkadza ekspedientkom w „pracy". Petent — urzędnikowi, a człowiek chory stanowi ogromny kłopot dla każdego ośrodka zdrowia i szpitala również O ile prostsze byłoby życie, gdyby...

System kartkowy wykazał, niestety, ale tego można było spodziewać się, pełną indolencję naszej biurokracji i zbiurokratyzowanego handlu. Zamiast dążyć do niezbędnych uproszczeń, do prostoty rozwiązań, do wygody klienta, żeby nie stał godzinami w kolejkach i czekał po należne mu mięso, zrobiono wszystko, aby biurokratom w urzędach i za ladami było dobrze. Za grosz wyobraźni za grosz logiki. Tracono dni i tygodnie na konsultacje, a zabrakło czasu na niezbędne myślenie, na poszukanie odpowiedzi na pytanie: jak to zrobić, aby ludzie szybko i dobrze mogli być obsłużeni?

„Wagi i znaczenia tych problemów nie trzeba szerzej uzasadniać, ponieważ (I, 7) realizacja nakreślonych zadań programowych (II. 1) zmusza do przeanalizowania (III, 1) systemu powszechnego uczestnictwa (IV, 3)".

Dobrę, co? I pasuje „jak ulał". Jak się mówi takim językiem, a nie jest to przecież język wymyślony, tylko „żywcem wycięty" z wielu różnych przemówień, to i skutki muszą być takie, jakie są. Albo też odwrotnie. Jak mamy takie zbiurokratyzowane życie, to i język musi być taki a nie inny. Sprzężenie zwrotne.

MARCIN RODAK

CO NA PO ŚWIĘTACH?

Kończą się właśnie święta („tym razem skromniejsze i chudsze niż nakazywałaby tradycja" — leitmotyw z wielkanocnych wydań Dziennika Tv) i pytanie zawarte w tytule staje się schlagwortem pań domu oraz tych, którzy będą siadać do stołów, karmieni nadzieją majowych kartek. Ów kłopot ominie wicepremiera Mieczysława Rakowskiego, który — jak mogliśmy się naocznie przekonać w wielkosobotni wieczór — nie zdążył przed świętami zrealizować swojej karty zaopatrzenia. Mignął nią przed kamerami i nie dostrzegłem czy była to kartka A czy B. Proszę zatem nie przysyłać do redakcji „Odgłosów" listów z zapytaniami w tej sprawie.

Obserwując wyludnione w świąteczne dni ulice łatwo znaleźć wyjaśnienie: siedzieliśmy w domach i wzdychaliśmy („Ja już przestałam mówić, ja wzdycham" — żaliła się w kolejce jakaś kobieta), próbując regenerować utracone siły. Wielki Tydzień był zaiste wielki, gdy się go ocenia na podstawie ogonków-monstre i biegów przełajowych od sklepu do sklepu. „Teraz, żeby utrzymać się przy życiu, trzeba przestać pracować" — oto kolejna mądrość z kolejki na miarę eleatyckiego paradoksu Zenona. Ciekawe, kto w tym czasie pracował oprócz ekspedientek? No i telewizji.

Sądząc po programie, można przypuścić, że i na Woronicza, na okazję Wielkiejnocy, zrealizowano całomiesięczny przydział. Na okres wizyt wielomilionowej widowni ukryto Kryzys gdzieś w starej garderobie i prowadzono nas od programu do programu tak jak gdyby nigdy nic. Nawet audycje II kategorii (sprowadzając dzisiejszy tekst do ciągłych porównań z kartą zaopatrzeniową, przypominam owego kaprala z wojskowego dowcipu, który na wszystkie okazje miał tylko jedno skojarzenie), jakoś nie rzucały się w oczy. Już dni poprzedzające święta przyniosły kilka telewizyjnych ewenementów. Poniedziałkowy teatr z inscenizacją „Judasza z Kariothu" Karola H. Roztworowskiego sprawiał silne wrażenie nie tyle swoim warsztatem i ideą, ile wyjątkowością na małym ekranie, biblijnego tematu. Wprowadzenie do spektaklu wygłosił ksiądz z zakonu Towarzystwa Jezusowego. W środę na Scenie Poezji, w spektaklu pod tytułem „Mówię do Ciebie po latach milczenia", wiersze Czesława Miłosza recytowali aktorzy Teatru Starego. Nie wszyscy z nich zdołali unieść wartość i mądrość Miłoszowej poezji. Myślę tu przede wszystkim o Jerzym Stuhrze, który sprawdzając się w dość jednorodnym emploi rozmaitych wodzirejów i biurowych podgryzaczy, tym razem mówił wiersze Miłosza jakby bez zrozumienia ich treści. Zaprezentował jednocześnie nikły warsztat interpretacyjny: były to dwa albo trzy kiwnięcia i skłony głowy. Innym aktorom — Annie Polony, Jerzemu Radziwiłowiczowi, Annie Dymnej — wystarczył głos i rozumienie wypowiadanych słów. Więc nie dość nauczyć się owych słów na pamięć, aby je przekazać innym.

„Mową po latach milczenia" można by i zatytułować piątkową adaptację książki Hanny Kral „Zdążyć przed Panem Bogiem". Autorka stworzyła, na miarę „Medalionów" Zofii Nałkowskiej, tragicznie wielki obraz getta warszawskiego poprzez postać Marka Edelmana, jego pamięć i relację z żydowskiego powstania. Inscenizacja Andrzeja Brzozowskiego ze znakomitym udziałem Zbigniewa Zapasiewicza, Gustawa Holoubka, Elżbiety Kępińskiej, Mai Komorowskiej zmuszała do historycznej a jednocześnie ogólnohumanistycznej refleksji. Jednak — jak w przypadku każdej adaptacji książki wybitnej — tak i telewizyjny przekład książki Hanny Krall nie stał się sukcesem pełnym. Słowo jest pojemniejsze. Odnosząc się do konkretu staje się jednocześnie uogólnieniem. A obraz (również w omawianej adaptacji) daje zaledwie pozór ilustracji.

Wypada kończyć felieton, a tymczasem nic nie napisałem o programach świątecznych. A jest o czym. Stąd tytułowe westchnienie. W telewizyjnym kinie arcydzieło Andrzeja Wajdy i Jarosława Iwaszkiewicza „Panny z Wilka". Pamiętam jak ktoś, chyba na podstawie czysto zewnętrznych podobieństw, mówił o „najbardziej bergmanowskim filmie Wajdy". Nic bardziej fałszywego. „Panny z Wilka" to jedno z najbardziej polskich dzieł autora „Popiołu i diamentu". Jest to rzeczywisty hołd dla Iwaszkiewicza, który w tym opowiadaniu zawarł kwintesencję swojego pisarstwa i człowieczej świadomości. Jest film Wajdy jednocześnie prawdziwie znakomitym popisem gry aktorskiej, popisem nostalgicznej, rozemocjonowanej i rozumiejącej kobiecości. Czyż można się dziwić filmowemu Karolowi, że nie mógł dokonać wyboru?

„Muzyką po latach milczenia" był z całą pewnością Wagnerowski „Tannhäuser" w mistrzowskim wykonaniu festiwali w Bayreuth. Być może oznacza to, iż zdejmuje się z Richarda Wagnera, jakże niesprawiedliwe (kompozytor zmarł w 1883 r.) odium hitlerowskiego ulubieńca. Zresztą, jeśli ktoś uważnie oglądał program tv, mógł usłyszeć, że ilustracją muzyczną do czołówki i zakończenia audycji o osiągnięciach NRD był słynny „cwał Walkirii" z tetralogii „Pierścień Nibelunga". Dotąd towarzyszył ów motyw innym obrazom. Telewizyjne przeniesienie „Tannhäusera" było i interesujące od strony filmowej (zwłaszcza akt I).

Teraz naprawdę już muszę kończyć, a gdzie jeszcze dyngusowe „Studio 2", gdzie Wojciecha Bogusławskiego „Henryka IV na łowach" z łódzkiego ośrodka tv, gdzie filmy (nie oglądałem — cóż można bowiem się spodziewać po „Juliuszu Cezarze w hollywoodzkim opakowaniu, i po innych staroci ach w rodzaju „Pani minister tańczy"), dobre dokumenty (antydankenowski film w cyklu „Kino Oko"), reportaże, atrakcyjne „disneye" dla dzieci?

Rzeczywiście martwię się: co po świętach?

GRZEGORZ GAZDA

P.S. Po przeczytaniu swojego ubiegłotygodniowego felietonu, postanowiłem nie używać przyimków „do" i „od", ponieważ dla drukarskiego chochlika nie ma między nimi żadnej różnicy znaczeniowej. Jakoś się obejdę!

G. G.

SIEMIONOW MYLI SIĘ TYLKO W SZCZEGÓŁACH

Wreszcie mogliśmy zobaczyć Siemionowa — pokazano go, niestety, tylko na chwilę w telewizji. Siemionow jest krępy, bardzo popędliwy, bardzo syntoniczny, współdrgający z ludźmi. Siemionow jest człowiekiem zaradnym, praktycznym i kordialnym. Siemionow w sportowej kurcie, w czapce z daszkiem, w okularach i nieuporządkowanym zarostem, bardzo żywy i bardzo autentyczny. Wszystko w nim jest skrajne, jest nieufny i łatwowierny, doświadczony i dziecinny — potrafi mówić tylko prawdę, co mu wcale nie ułatwia życia. Oglądaliśmy w telewizji „Siedemnaście mgnień wiosny" — jakie to mądre i jakie naiwne! To liryka polityki, poezja dokumentu, atmosfera autentycznej, historycznie określonej grozy z mnogością nieprawdziwych, nakłamanych Siemionowowi szczegółów. Siemionow daje wierną prawdę czasu, jednocześnie beztrosko mieszając kompetencje występujących postaci historycznych, ich stopnie służbowe, ich wiek, niekiedy pojawiają się ludzie, którzy przecież w marcu 1945 roku już nie żyli...

Rozmowa pomiędzy Kaltenbrunnerem, a Krügerem w lutym 1945 roku jest pomysłem nadrealistycznym. Krüger, który zresztą nie był gruppenführerem, ale obergruppenführerem, nigdy nie podlegał Kaltenbrunnerowi, ale bezpośrednio Himmlerowi i w opisywanym czasie nie mógł ponosić odpowiedzialności za sytuację w Krakowie.

Szef gestapo, Müller, dla odmiany nigdy nie był obergruppenführerem, lecz jedynie gruppenführerem, w okresie, w którym przedstawia go Siemionow wcale nie był starcem, lecz mężczyzną czterdziestoletnim. Müller, zimny jak lód, wykonawca rozkazów Himmlera, całkowicie zresztą od niego zależny, absolutnie nie mógł sobie pozwolić na jakieś antyhimmlerowskie spiski z Martinem Bormannem.

Poczciwy Siemionow oświadczył w telewizji, że spotkał Karla Wolfa, szefa ochrony Himmlera, który kłamał i kręcił. Oczywiście, że Wolf kłamał i kręcił bardziej nawet, niż sądzi Siemionow. Wolf zresztą nigdy nie był szefem ochrony Himmlera, lecz szefem jego sztabu i jedną z najbardziej zakamuflowanych szarych eminencji Trzeciej Rzeszy. Bormann nigdy nie nastawał na życie Wolfa, bowiem to właśnie Wolf, a nie Müller spiskował z nim przeciw Himmlerowi.

A jednak dzieła Siemionowa na pewno warto oglądać, warto czytać... Siemionow jest artystą, który ima się spraw polityki i historii najnowszej, jest potężnym kreatorem nastrojów dla przedstawianej epoki autentycznych. Siemionow szczerze lubi Polskę i Polaków. Dużo wie o walce Polaków w czasie wojny, dużo wie o krzywdzie i cierpieniu. Siemionow intuicyjnie wyczuwa prawdę o tamtych dniach. W szczegółach zapewne znowu się myli. Kto go tym razem okłamał?

BERNARD SZTAJNERT

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; ul. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV odd. 1a w Warszawie nr 1153-201045-139. prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 844 K-2.